Nr. 51. Warszawa, dnia 5 (17) Grudnia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Redakcyi.

Ażeby uprzystępnić nowym abonentom nabycie naszych wydawnictw i dodatków, zniżamy ich cenę o połowę dla wszystkich, którzy zaprenumerują PRAWDĘ bezpośrednio w naszej Administracyi. Mianowicie:

J. Brandes: *Główne prądy literatury europejskiej XIX w.* 4 tomy rb. 3 (zamiast 6).
L. Liard: *Logika* k. 50 (zam. rb. 1).
A. Espinas. *Społeczeństwa zwierzęce* rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).
L. Morgan: *Społeczeństwo pierwotne* rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).
Huxley—Rosenthal: *Zasady fizyologii* rb. 1 (zamiast rb. 2).
J. Barni: *Męczennicy myśli* k. 50 (zamiast rb. 1).
N. Hirszband: *Byron w urywkach* k. 25 (zamiast k. 50)
K. Lewald: *Historya XIX w.* rb. 1 k. 60 (zamiast rb. 3 k. 20).
L. Wolberg: *Psychologia dziecka* rb. 1 (zamiast rb. 2).
Ekonomia polityczna rb. 1 k. 50 (zamiast rb. 3).
H. Posnet: *Literatura porównawcza* rb. 1 (zamiast rb. 2).
R. Falkenberg: *Historya filozofii najnowszej* rb. 1 k. 20 (zamiast rb. 2 k. 40).
J. Dallemagne: *Człowiek zwyrodniały* rb. 1 (zamiast rb. 2).
M. Mignet: *Historya Rewolucyi francuskiej* rb. 1 (zamiast rb. 2).
Encyklopedya dla dzieci (ilustrowana) kop. 75 (zamiast rb. 1 kop. 50).

Nowoprzybyli abonenci *Prawdy* mogą nabyć początkowe arkusze dzieła, drukowanego w dodatku, *Syberya i ciężkie roboty* Maksimowa, za 50 kop., bez przesyłki.

Na przesyłkę pocztową dołączyć trzeba kop. 15 do każdego rubla. Ceny te obowiązują nas tylko do 1 lutego roku przyszłego.

POLITYKA.

Pokój paryski.

Traktat pokoju między Stanami Zjednoczonymi a Hiszpanią otrzymał podpisy pełnomocników d. 10 b. m. w Paryżu, gdzie im d. 1 październiaka nakazały stawić się punkta przedugodne, za pośrednictwem posła francuskiego Cambona w Waszyngtonie d. 12 sierpnia umówione. Pełnomocnikom hiszpańskim ręce drżały, serca ściskały się bólem, gdy podpisywali akt, potrzebujący tylko jeszcze ratyfikacyi, o której nikt na świecie nie wątpił; nie dziwnego, że drżały: ostatnie szczątki politycznej wielkości swej ojczyzny składali Hiszpanie u stóp przemocy. Wielkiem mocarstwem Hiszpania być już przestała z wygaśnięciem potomków Filipa II i wejściem Burbonów; ale przez cały wiek XVIII jeszcze była potęgą poważaną, znaczenie swe nietylko z czczych tytułów, ale i z rzeczywistej siły czerpiącą. Od XVI w. panowała przeważnie w Ameryce; nad Atlantykiem tylko sadowili się Anglicy, Francuzi, Portugalczycy: cały zachód wzdłuż kręgosłupa gór Skalistych i Sierry Nevady, a na południu Kordilierów — był hiszpańskim. Dziś w całej Ameryce niema już i piędzi ziemi hiszpańskiej. Tak olbrzymi majątek i tak straszliwie zmarnowany!

Marnotrawcami byli przedewszystkiem sami zdobywcy, którzy, o ile nie wytępili ludności, trzymali ją w jarzmie, przygnębieniu i ciemnocie, z cywilizacyi dając jej tylko pokusę zbytku i fałszu, a pojęcie bogactwa społecznego sprowadzając do pojęcia złota. Marnotrawcą było duchowieństwo, bigoteryą i despotyzmem moralnym wzmacniające szkodliwość rządów świeckich i zaprowadzające swój własny paragwajski systemat tam, gdzie mu niedołęztwo rządowe, od fanatyzmu nieodłączne, pozwalało swobodnie się rozpościerać. Marnotrawcami byli królowie i ministrowie, arystokraci i awanturnicy, kupcy i żeglarze — wszystko, co tylko z Narodu Hiszpańskiego dotknęło się Ameryki: cała ta ślepa namiętność posiadania i użycia, samopas szalejąca, inną namiętnością: porządku i pracy, niepowściągana. Pomiędzy zdobywcą a zdobytym spełniał się przez trzy wieki proces wymiany trucizn; jeden drugiemu dawał pocałunki śmierci. Dla Hiszpanii kolonie były coraz większym ciężarem, coraz groźniejszym czynnikiem jej zastałości i społecznej niemocy; dla Ameryki jarzmo hiszpańskie stawało się coraz straszliwszem przekleństwem: ale gdy w ludach gnębionych natura sama wywołała reakcyę życia, Hiszpanię zżarła bezsilna jej wielkość. Powstałych w początkach XIX w. kolonij nie miała już siły przy sobie zatrzymać.

I tak słońce zaczęło już w państwie hiszpańskiem zachodzić; Hiszpania zrzekła się obecnie najdrobniejszej nawet wysepki antylskiej; niczego już teraz w Ameryce swojem nazwać nie ma prawa. Kuba idzie pod Stany Zjednoczone, dopóki się im nie spodoba wyzwolić jej ze swej opieki; Portorico wraz z pomniejszemi Antyllami dostaje się Unii na zupełną już własność. Taki sam los spotyka wyspy Filipińskie i przyległy do nich mały wyspozbiór Sulu. Kubę tak dalece zabierają Stany Zjednoczone w imieniu ludzkości, która pod panowaniem hiszpańskiem jęczała, że nie chcą wcale słyszeć o przejęciu długów; ale za Filipiny, nad któremi już hasła ludzkości się nie rozlegały, dadzą Hiszpanii — 20 milionów dolarów; resztę otrzymała już w klęsce z d. 1 maja. Nie-

podobna było taniej nabyć sześciu tysięcy mil kwadratowych i znakomitego położenia. O wyspach Karolińskich nic nie postanowiono: chyba ich już zwycięzcy nie zabiorą. Nie było dotychczas w zwyczaju zmieniać aktów podawanych już do ratyfikacyi.

Pokój z d. 10 b. m. zamienia Stany Zjednoczone na wielkie mocarstwo, wkładając na nie wszystkie pożytki i rozkosze takiej godności i wszystkie zarazem ciężary i niebezpieczeństwa. Trzymanie Filipin będzie wymagało ogromnego zwiększema marynarki wojennej i sił zbrojnych; wymaganie to, ta potrzeba nie da się oszukać jakąś organizacyą milicyi. Widzą to jasno oni sami, ci opiekunowie ludzkości, że, raz uszczknąwszy liść wawrzynu wojennego, muszą już być mocarstwem wojennem, jak inne. Dotychczas mieli nie całe trzydzieści tysięcy wojska regularnego; odtąd będą mieli sto, ale i to im wkrótce nie wystarczy. Nowe orędzie Mc Kinleya oznacza taką wysokość sił stałych niezbędnych; dodaje i zwiększenie floty i utrzymanie nadal podatku wojennego. Oczywiście, na świecie nic darmo: za wielkość potrzeba płacić. Wypadnie z czasem zapłacić i swobodami stanowemi i organizacyą dotychczasową Unii — a może nawet i samą republikańską formą państwa. Niebezpieczeństwa wewnętrzne współzawodniczyć będą z zewnętrznemi, aby sprowadzić nieuchronne skutki z dobrowolnie wyzwanych przyczyn. Najpierwszym, najwcześniejszym z tych skutków będzie centralizacya, wzmocnienie władzy związkowej.

Tydzień polityczny. Niemcy powiększają armię swą na stopie pokoju o blizko 27,000 ludzi. Cesarz, przyjmując prezydyum sejmu, oświadczył, że nie wie, co przyszłość najbliższa przynieść może. Marszałkiem sejmu cesarstwa obrany Ballestrem ze środka. Czynności właściwe rozpoczął sejm 12 b. m. P. Bülow mówił o polityce zagranicznej: z Anglią Niemcy pójdą, o ileby się tem nie naraziły innym mocarstwom, bo chcą z wszystkimi żyć w zgodzie — dla pokoju; wypędzanie poddanych austryackich nie wpłynie na trójprzymierze. P. Posadowsky wysławiał wypędzanie. Ze Szlezwigu północnego grozi wydalenie wszystkim Duńczykom, mającym na nauce dzieci w Danii; najformalniejszych nawet poddanych pruskich wygnać gotów jest nadprezydent Köller, jeśli nie zaniechają agitacyi, a agitacyą jest samo już życie po duńsku, a nie po prusku.

W sprawie Dreyfusa-Picquarta była 12 b. m. walki w Izbie deput. w Paryżu. Pascal-Grousset przypomniał fakta i kłamstwa rozmyślne, rzucone przez prasę. Freycinet ujął się za armią; wogóle ministrom język stawał kołem. Dostali przecież porządek dzienny. *Observer* ogłasza całą opowieść intryg, do których wpływali Henry i Esterhazy.

W Austro-Węgrzech zamęt już zupełny. W Peszcie sejm tak samo swoją władzę prawodawczą burdami karczemnemi wykonywa, jak w Wiedniu. Szilagyi opuścił prezydyum, poszedł zo nim i pierwszy vice-prezydent Lang. Koloman Tisza wniósł w klubie liberalnym upoważnienie rządu do wyręczenia sejmu działać niezdolnego. Opozycya chce zwalić Banffy'ego; król nie przestaje go darzyć zaufaniem. W Wiedniu Wachnianin przeprowadził nagłość rozpraw nad ugodą, którą komisya zwolna przyjmuje; ale czasu już chyba Izbie nie starczy i § 14 zapanuje nad obu połowami monarchii, która żyć musi.

Mowa Chamberlaina otwiera widoki współdziałania z Niemcami, Ameryką i Japonią w Azyi.

Ks. Jerzy grecki d. 12 b. m. ma objąć gubernatorstwo Krety.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIELKIE MONACO.

Społeczeństwu naszemu do wielu chorób ciężkich i przewlekłych w ostatniem dziesięcioleciu przybyła jeszcze jedna — gorączkowa: stały wzrost i rozwój gier hazardownych wszelkiego rodzaju. O losy loteryjne ludzie walczą już dziś na pięście, zdobywają je kosztem własnych żeber i naddatków, dorównywających wartości biletów. Handel i nadużycia rozwinęły się na wielką skalę, których nie potrafiła stłumić kontrola wzmożona. Karciarstwo kwitnie we wszystkich sferach, a szulerka wędrowna i stała rujnuje tysiące ludzi.

To jednak zjawisko nielegalne, więc jest przynajmniej w pewnych granicach prześladowane. Mamy tu wszakże na myśli inną, bardzo szeroką, uprawnioną i popieraną grę na wielką skalę: wyścigi konne wraz z całą ich organizacyą. Wszystkie wybitne stajnie krajowe dziś hodują konie przeważnie wyścigowe. Sport ten zrazu pochłaniał tylko kilka jednostek zamożniejszych ze sfer arystokratycznych. Stopniowo jednak zaczął on ogarniać coraz szersze warstwy ziemiańskie i oto dziś już widzimy chów wyścigowców w stajniach stosunkowo nawet dość skromnych. Ponieważ tego rodzaju hodowla jest najkosztowniejsza ze wszystkich działów gospodarki rolnej, więc łatwo wyobrazić, co się dzieje. Kosztem ogólnych interesów rolnictwa, kosztem najniezbędniejszych potrzeb życia bieżącego i prawidłowego, równomiernego rozwoju pracy racyonalnej na roli, powstają i mnożą się coraz liczniej stajnie wyścigowe. Jedna, sztucznie i forsownie wypielęgnowana odrośl, wybujała z soków całego drzewa gospodarczego. Usycha ono od korzeni i wierzchołka, ale przy pniu próchniejącym zielenieje sport. Taka jednostronność, tem szkodliwsza, że oparta na hazardzie i podniecana gorączką gry, zwęziła i osłabiła inne pola pracy, z ogólną szkodą ekonomiczną całego kraju. Podczas gdy z zagranicy przychodzą kosztowne reproduktory, pochłaniające dziesiątki i setki tysięcy rubli, gdy są one bohaterami chwili, przejeżdżają w wagonach, niemal z komfortem urządzonych, posiadają swoich biografów i swoje portrety w pismach, słowem stają się popularniejszymi i sławniejszymi, niż ludzie wybitni i zasłużeni — cały kraj cierpi dotkliwie na brak koni użytkowych. Hodowla tego rodzaju zwierząt nietylko nie podnosi się, ale upada coraz bardziej. Wystawy prowincyonalne przekonały nas, że chów

---

4)

Wacław Sieroszewski.

WRAŻENIA Z BIAŁOWIEŻY.

Wioska Budy Pogorzelce, z której mieszkańcami mieliśmy przeważnie do czynienia, posiada zaledwie dwadzieścia parę chałup mieszkalnych. Reszta są to spichrze, stodoły, obory i chlewy. Wszystko stawiane z dobrego budulcu, izby przestrone i widne. U każdego prawie domku rozbity jest sadek i mała pasieka. Pod oknami i na oknach—kwiaty. Uprawnej ziemi należy do wsi mało. Obsiewają ją po większej części żytem, owsem, jęczmieniem. Pszenica źle się udaje. Zaraz za wsią ciągną się ogrody warzywne, kartofle, zagony lnu. Ludność odziewa się w płócienny „part" i wełniaki własnego wyrobu. Ludność piękna; kobiety smagłe, kształtne jak sosny, mężczyzni żylaści i hardzi jak dęby.

Włościanie dostrzegli nas na klocu, a że wieczór był pogodny, więc zaczęli się z przyźb ku nam kierować; musiałem jednak przerwać przyjemną pogawędkę, gdyż w domu czekano na rezultaty mojej wyprawy do żyda, ostatniej nadziei w naszych podróżniczych kłopotach. Nie mieliśmy zapałek, nie wzięliśmy świec, nie starczyło nam chleba. Zjedliśmy już cały zapas jaj i masła u naszej gospodyni. Lecz Białorusin i o żydzie nakłamał: ten wcale nie okazał się żydem. Święcił wprawdzie szabas i nosił „cyces," ale zastałem go przy chłopskiej robocie — zwoził drzewo; miał figurę i ruchy włościanina, namulone ręce oraz poczciwe niebieskie oczy. Był kowalem, nic nie kupował i nic nie sprzedawał. W ciągu kilkudniowych stosunków ani razu mię nie oszukał. Wyznaję jednak, że wówczas wracając do moich pań z próżnemi rękami, żałowałem nieobecności klasycznego żyda. Musiałem udać się osobiście po zapałki do pani stróżowej, po kurę — do pani strzelcowej, po jaja—do sąsiadki Wołodkiewiczowej i tylko bułki zgodziła się wspaniałomyślnie upiec kowalowa Ruchla.

Wiecznie jednak tak trwać nie mogło. Po wyczerpaniu bogactw wioskowych, po spaleniu wszystkich zapałek i papierosów, w braku sklepiku trzeba było myśleć o odwrocie. Ale przedtem postanowiliśmy nająć na cały dzień furmankę i objechać puszczę, gdzie się da.

Dzień był podobny do dnia naszego przyjazdu. Po niebie wałęsały się skłębione obłoki, a lasy to chmurniały w ich cieniu, to mdlały w gorących potokach słonecznego blasku. Za przewodnika wzięliśmy starego budnika, Marcina, który był niegdyś strzelcem i znał puszczę na wylot. On też miał płowe, na dół obwisłe wąsy i czarne oczy, jak nasz gospodarz.

— Stąd pojedziemy na łąki. Tam miejsce ładne, przestrone, wesołe, kwiecia dużo... Z łąków na Zamczysko, z Zamczyska do Starej Białowieży, ze Starej Białowieży na górę Batura, a stamtąd do domu. Cały dzień zejdzie...

Zgodziliśmy się na wszystko, aby tylko jechać jak najdłużej, jak najdalej po tych zacienionych, wązkich drożkach, nad któremi szmaragdowe gałęzie leszczyny tworzyły lotne łuki.

— To jest łączka, gdzie zuber rozbijał. Tu wiele rośnie ich trawy żubrówki. A tu, ot, miejsco, gdzie się dziewczynie z naszej wioski pokazała *pani* — opowiadał Marcin, przejęty rolą przewodnika.

— Kazała jej przyjść i skarb nawet obiecała pokazać, ale dziewczyna zlękła się i uciekła. Od tego czasu zaczęła *pani* do niej chodzić. Kiedy ma przyjść, dziewczyna zawczasu to czuje. Drży, oczy jej w słup stają, zaczyna gadać, piszczyć, kaśleć, jak małe dziecko, aż upadnie i wypręży się... I modlitwy mówiliśmy, i do kościoła ją do księdza wozili, i całą gromadą z nią na to miejsce chadzali — nic nie pomaga. I czy sama dziewczyna, czy z ludźmi, *pani* nie baczy, zjawia się... Nie robi nic, tylko stoi. Nikt jej nie widzi, a dziewczyna aż się wije od jej wzroku.

koni, czy to w gospodarstwach szlacheckich, czy włościańskich, jest bardzo chaotyczny, przypadkowy, że nie zdołaliśmy dotychczas wytworzyć dobrej rasy zwierząt roboczych, przystosowanych do warunków klimatycznych, kulturalnych i ekonomicznych. Konie, zarówno w gospodarstwach średnich, jak i włościańskich, wyradnieją, słabną, a wszelkie usiłowania około rozwoju hodowli świadomej, racyonalnej, nie mają należytego poparcia. Tymczasem koszt jednego reproduktora, przeznaczonego dla rozwoju hodowli sportowej, wystarczyłby na zaopatrzenie znacznej części kraju w materyał hodowlany zwierzęcej siły roboczej. Dziś wielkie przedsiębiorstwo tramwajowe w Warszawie posługuje się końmi, sprowadzanymi... z Węgier, bo w kraju nie znaleziono ich wcale. Armia zaś, za każdym razem jest w wielkim kłopocie, gdy poszukuje w kraju koni do użytku kawaleryi. Tymczasem pod względem sportowym stajemy się sławnymi. Nasze Bon Coner'y, Carlo Felice, Ahenobarby, Litte King:, Effaro'e, Tamerlany, Etrurie, Hamsteady, Kunigasy, Irisch Iig'i, Arbiter Elegranciarum'y Fanny Squeers'y, Miss Oaks'y na wszystkich torach wyścigowych w całem państwie są sławniejsze, niż zdolni autorowie powieści, a nazwiska tych bohaterów czworonożnych pomimo, że przechodzą przez gardła tłumów z większym trudem, niż kawałek suchego razowca, są powtarzane przez tysiące ust i utrwalane w pamięci mas bardziej, niż imiona Słowackich, Krasińskich, Kondratowiczów, Kraszewskich, Orzeszkowych Konopnickich itd.

Ze sprawozdań widzimy przerażająco szybki wzrost udziału naszych sportowców we wszelkich zapasach wyścigowych. Gdy ten udział porównany z Cesarstwem przekonamy się, że ono pomimo swych obszarów i bogactwa, stosunkowo bardzo skromnie zajmuje się hodowlą koni sportowych i wyścigami; u nas zaś postęp w tej mierze doszedł do szczytu gorączki hazardowej. *) Właściciele koni wyścigowych tracą dziesiątki tysięcy, wyjaławiają wszelkie działy gospodarstwa swego, byleby tylko podtrzymać hodowlę koni wyscigowych. Jednocześnie całe masy ludności, podniecone totalizatorem, płyną na pola wyścigowe. Inteligencya traci własne, pożyczone i depozytowe pieniądze, nędzarze sprzedają sienniki i poduszki, kupują zbiorowo bilety totalizatora i przegrywają wszystko, bez względu na nędzę, głód i chorobę w domu. Powstało w kraju olbrzymie Monaco, wielki, jawny i uprawniony dom gry; wytworzyła się atmosfera niezdrowa, zabójcza dla rzesz wielotysięcznych, słowem wynikła klęska społeczna, bardzo dotkliwa dla całego kraju.

O pewnem rozczłonkowaniu, tj. pozostawieniu wyścigów, a skasowaniu totalizatora, nie może być mowy, gdyż totalizator jest nieodłącznym warunkiem istnienia wyścigów i podniety sportowej. Bez totalizatora nie byłoby owych wielkich nagród, nie byłoby tej gorączki, przynęty i tych olbrzymich dochodów, na które się składają masy ludzi lekkomyślnych, i nędzarzy. Chcąc usunąć złe radykalnie, trzeba je wyrwać z korzeniem: trzeba znieść nietylko totalizatora, lecz i wyścigi. Ucierpiałaby na tem garstka graczów — przedsiębiorców, ale zyskałyby dużo masy ludności, wydobytej z zabójczej atmosfery hazardu. Co więcej — gospodarka rolna w całym kraju przyszłaby do większej równowagi, wreszcie oczyścilibyśmy język z tej strasznej, obydnej gwary, volapiku sportowców, których ojczyzną są pola wyścigowe całego świata, a uczuciem i duszą — końskie nogi. Oto próbka ich żargonu, zaczerpnięta ze *Sportu*: „Konie wyszły ze *startu*. Inne zostały puszczone bez *falstartu*. Przybiegły, zrobiwszy doskonały *finish*. Dżokeje dali istny koncert złej jazdy i braku elementarnego pojęcia o *pace'ie*. Nie sądzimy, iżby ktokolwiek mógł być poważnym konkurentem dla wybornego *steeplera*. Weraks stracił już nieco z wyjątkowego *speedu*. Stajnia nie posiada *trenera* i całkowitą robotę koniom przepisuje *manager* stajni. Przybiegła wyjątkowo energicznie *finishująca* Par Dépit. Wygrała wyścig w *cantrze*. Zdawało się, iż Tamerlan tak prędko *nie będzie w stanie powrócić do formy*. Rezultat wyścigów dowiódł, że *ma on dosyć klasy*, aby wygrać wyścig nawet nie w *tip top-kondycyi*. Wszyscy trzej *gentleman-irder'zy* jechali z *wielkim herzem*. Le Roi tym razem *forsował tempo*. Klacz ta jest pierwszym *biegującym produktem reproduktora* Guise..."

Chyba dosyć! Gdyby te wszystkie wyrazy i zdania zamieniły się na dyscypliny wielorzemienne, nie pozostawiłyby one na twórcach żargonu nietylko skóry, ale i mięsa; odebrałyby im możność raz na zawsze nietylko jazdy, ale i siedzenia w *tip top-kondycyach*.

*) Ze sprawozdania rocznego widzimy, że pośród 29 stajni z wygranemi po nad 10,000 rb., jest *jedenaście* polskich, które zdobyły razem 478,562 rb., tj. nie o wiele mniej, niż 18 stajen rosyjskich, na które przypada w tej rubryce 570,554 rb.

LISTY PETERSBURSKIE.

Hołd narodu rosyjskiego. — Murawjew i pomnik jego w oświetleniu prasy rosyjskiej. — Jak się pozbyć księży i katolicyzmu — według recepty *Swiata*. — Wpływ monopolu wódczanego, w oświetleniu korespondenta *Birżewych Wied.*

Rosyjskie społeczeństwo i cała jego prasa ogromnie są obecnie przejęte uroczystością odsłonięcia pomnika Murawjewa w Wilnie. Najpierw zaznaczamy głos *Prawit. Wiest.*, którego myśl przewodnia przebija się we wszystkich innych pismach. „Z imieniem Murawiewa — pisze organ urzędowy — łączymy nierozerwalnie i na wieki odrodzenie w kraju litewskim narodu rosyjskiego, uciemiężanego przez katolicyzm i szla-

Krewniaczka mojej żony ulitowała się nad nią, i poszły razem na to tu miejsce; na klęczkach błagały, prosiły, aby *pani* sobie poszła. Dała dziewczynie wypocznienie na trzy roki. Cały czas nie było jej, tej jesieni ostatni termin mija. Co będzie — nie wiadomo. Szkoda dziewuchy: dobra, pracowita, cóż kiedy... schnie!.

Wyjechaliśmy na jasno-zielone łąki, rumiane od kit mietlicy i owsików, usiane żółtem, białem, błękitnem i różowem kwieciem. Słońce złociło je, a ciemny, malachitowy las oramiał wkoło. Szereg szop z grubych brewion na wysokich palach ciągnął się środkiem daleko, jak wieś nadwodnych mieszkańców.

— To na siano... od zwierza! — objaśnił Marcin.

W pobliżu łąk okolica miała teren nizki, wilgotny. Las rósł miejscami wprost na mokradłach i stawał się bardzo podobnym do syberyjskich „kałtusów."

— A co łosia tu w tych bagnach! O jej! Zaszyją się w gąszcz, tylko po łomotaniu odgadniesz, że tam są; albo który mordę z krzaków nagle wytknie... Bardzo śmieszne! Wielkie głupie... Kiedy się wabią, dość konnemu koło takich moczarów przejechać i beknąć jak samka, żeby samce biegły za nim wiorst kilka... Ino im się dolna warga, jak torba sieczki mota i prychają ogromnistemi chrapskami, jak z harmat... Nie wiem wiele lat temu, to jednemu księciu łosia w taki sposób do samych nóg przyprowadzili. Dwadzieścia pięć rubli dał dojeżdżaczowi i bardzo chwalił polskich dojeżdżaczów, a wcale niewielka rzecz... każdy potrafi!.

— Czy sami strzelaliście kiedy do łosia?

— O jej! Teraz to nie, ale kie lym był młody, tom bardzo to hukanie lubiał. Nieboszczyk pan Niemirski, gdzie mię spotkał zaraz pytał: „a nie macie czego Marcinie?... zabawę urządzam, chciałbym w imieniny gości sarniną z Białowieży uraczyć"; albo „przynieś mi głuszców parę, Marcinie, Wielkanoc nadchodzi..." Nie, żeby własnego nie miał — miał lasy i zwierzyny moc — a tylko był taki chciwy na białowiejską, jak, dla przykładu... nasze chłopy na kradzione drzewo. Bo to zajmujące, że tu pilnują, strzegą a on dostanie... Za te głuszce tom ja o mało raz w turmie nie siedział. Obiecałem mu więc poszliśmy z bratem rano, do dnia. Wypatrzyliśmy dwa. Wzleciały, siadły na sosnę, ogony rozpuściły. Żal strzelać tak pięknie; górą już słońce a w dole cicho, rosisto. Strzeliłem spodniego, wzleciał i spadł... Głos taki poszedł po lesie jak granie. Nasza kłusownicka broń tem niedobra, że, jeśli nie zamówiona, bardzo głośno strzela. Schwyciłem mego ptaka i w nogi, bo trzeba mieć pośpiech wc zwyczaju. Słyszę brat grzmotnął, poznałem po huku, że trafił. Dobrze! Dybam... W tem widzę, drogą na strzał biegnie leśny. Przycupnąłem w krzak, ledwie żyję, on mimo... ja dalej... Markotno mi — złapał myślę—pewnikiem brata... Gdzie zaś... tyle go on widział. Wychodzę na drogę, a brat już stoi... Zaraz zabrałem ptaki i poniosłem panu Niemirskiemu. Opowiedziałem mu całą historyę. Śmieje się. „Wiele chcesz za głuszce?" pyta. „Wiele łaska wielmożnego pana." Dobrze, idź do obory i za każdą sztukę wybierz sobie łońskiego cielaka." I wziąłem. Co najlepszych wybrałem. I takiegom się od tych cieląt przychówku dochował, że mi po pięćdziesiąt rubli za jałoszki płacili. A byka to za 120 sprzedałem. Musiałem sprzedać, bo bodał, nawet z żubrami się bijał. Taki był pan Niemirski! Bogaty był pan, pamiętliwy, wielki pan. Co chciał, to robił. Raz kiedy u nas było polowanie, on też nie gorsze u siebie urządził. Co od nas spłoszone łosie albo jelenie umkną, to oni wystrzelają. Usłyszeli pukanine, posłali obejszczyków. Ale... nikogo nieznaleźli, tylko wielce go mieli skarać, bo miał takie samo jak u nas altanki... Taki był pan Niemirski! Teraz takich nie ma...

(D. n.).

cheectwo, utrwalenie i rozwój prawosławia na ziemi odwiecznie rosyjskiej — w guberniach zachodnich. Sąd potomności jest zawsze sprawiedliwszym, niż współczesnych: słuszna ocena działalności Murawjewa tryumfuje. Czas zrobił swoje i postać patryoty rosyjskiego, niezłomnego, wstrzemięźliwego bez wahania zmierzającego do spełnienia wielkiego dzieła, stłumienia pożaru buntu, który objął cały kraj północno-zachodni — obecnie stoi wykuta z bronzu ku zbudowaniu pokoleń przyszłych. Hr. Murawjew był pierwszym z państwowych działaczów rosyjskich, którzy w sprawie odrodzenia kraju zachodniego słowo czynem poparli."

Inne pisma, podniecone chwilą owej uroczystości, poświęciły sporo miejsca wspomnieniom historycznym z czasów działalności tego generał-gubernatora. Przedewszystkiem prasa podnosi tę jego zasługę, że uśmierzył powstanie polskie i wten sposób udaremnił wrogie zamiary koalicyi państw zachodnich przeciw Rosyi; następnie zaś to, że w guberniach zachodnich bardzo szybko potrafił wskrzesić i utrwalić „żywioł państwowy i cywilizacyjny." Oto charakterystyka, zamieszczona w *Now. Wr.*: „Na kwestyę polską Murawiew patrzył tylko z rosyjskiego punktu widzenia, czego brakło podówczas wielu urzędnikom rosyjskim, którzy łączyli tę sprawę z kwestyą ogólną słowiańską w tak szerokim zakresie, że w niej zupełnie tonęły właściwe cele rosyjsko-państwowe i narodowe. Murawjew, jako prawdziwy wielkorus, nie znał sentymentalizmu w przestrzeganiu interesów państwowych, nie był również zanadto surowym. Cały przebieg sprawy z lat 1863—5, to był od pierwszego do ostatniego kroku zupełnie uświadomiony proces czysto rosyjski, proces zabezpieczenia całości ojczyzny, jej czci i ratowania braci młodszej — plemienia białoruskiego od zagłady pod uciskiem polskim. Za to Murawjew ma zupełne prawo do powszechnego hołdu rosyjskiego. U stóp jego składa honory cała ojczyzna, która powołując go w ciężkiej chwili historycznej, nie zawiodła się w wyborze."

Trochę odmienne tło zapatrywań znajdujemy w *Birżewych Wiedomostiach*. Podkreślają one tę trudność, w jakiej się znajdują ludzie współcześni w sądzeniu działaczów państwowych i politycznych. Stąd wynika sprzeczność poglądów na fakt wzniesienia pomnika. Oczywiście sprzeczność ta, o ile ma na względzie pewne zastrzeżenia, zaznacza się bardzo słabo, bo jak widzimy z nastroju społeczeństwa i całej jego prasy, panuje bezwzględne uznanie, szacunek i cześć dla tego działacza. Co do rozbieżności w poglądach, pismo powyżej wymienione kreśli ją w ten sposób: „Jedni w fakcie wzniesienia pomnika widzą rękojmię ostatecznego uspokojenia kraju, który był widownią krwawych starć oddziałów polsko-szlacheckich z wojskiem rosyjskiem. Inni zaś, nietylko Polacy, lecz i Rosyanie (nieliczni wprawdzie), którzy nie umieją patrzyć na działaczów rosyjskich i na wszystkie interesy państwowe oczami Rosyanina — uważają pomnik za dzieło przedwczesne. Wszakże bezwzględność w stosunku do bliźnich, wrogo dla nas usposobionych, wymagana jest nietylko w zapale bitwy, lecz jest i po za nią prawnie usprawiedliwiona. Czyż zatem można winić Murawjewa za odrzucenie środków łagodnych?.." Przeciwnie, *Birż. Wied.* poczytują mu za wielką zasługę — surowość. Do innych zasług, wynikających z pierwszej, należy to, że Murawjew „rozciął ostrzem miecza dawny spór pomiędzy Rosyą demokratyczną a Polską arystokratyczną; że *przez swe krwawe uśmierzenia ułatwił wzruszającą ugodę*, której świadkami byliśmy r. z. w Warszawie podczas owych dni pamiętnych. Ta zasługa jest znacznie większą, bardziej narodową i patryotyczną.

Pismo powyżej cytowane uważa pomnik Murawjewa za słup graniczny dwu epok i jednocześnie za pewnego rodzaju *memento*: „Na przełomie od epoki uspokojenia do epoki ugody niechaj stanie pomnik Murawjewa i starcom nad grobem niech przypomina o tem, co było — *nie z winy* Murawjewa, lecz co przeszło, dzięki jemu. Przyszłym zaś pokoleniom, które wzrosną w szkole ugodowej, tj. wspólności i łączności Rosyan z Polakami, niechaj przypomina o konieczności pokoju, gdyż tylko pod jego cieniem kwitnie miłość braterska, biegnie życie naprzód i dają się pochwycić ideały szczęścia." Te same zdania głoszą i takie *memento* pomnikowe piszą również inne gazety. „Krajowi zachodniemu — mówi *Grażdanin* — pomnik Murawjewa potrzebny jest nie na to, aby przypominał przeszłość, lecz aby upamiętnił to, czego wymaga Rosya cała: żywioł, z którego podmuchów dałby się stworzyć żywy Murawjew, jako emblemat silnej władzy państwowej."

Komitet budowy pomnika w Wilnie otrzymał mnóstwo powinszowań od osób, które nie mogły wziąć udziału w uroczystości narodowej. Między innemi *Wilenskij Wiestnik* zamieścił list generał-gubernatora warszawskiego, pełen uznania dla dzieła Murawjewa i pochwał dla twórców pomnika.

Ksiądz Sęczykowski nadesłał z Omska komitetowi budowy pomnika list następującej treści: „Modlitwą i pozdrowieniem serdecznem łączę się z uroczystością dzisiejszą. Pamięć wieczna i sława niechaj okrywają Michała Mikołajewicza Murawjewa, który zbawił moją ojczyznę, Białoruś, zapobiegł niebezpieczeństwu oderwania od umiłowanej ojczyzny naszej, Rosyi. Serdeczną wdzięczność żywię dla wszystkich, którzy nie żałowali trudu, aby stworzyć pomnik Murawjewowi wileńskiemu, memu dobroczyńcy..."

Pisma rosyjskie, szczególnie zaś *Swiet* i *Mosk. Wied.*, dużo obecnie piszą o księżach katolickich i malują ich takiemi barwami, że ktoś, nie wiedząc, co za cel tych napaści i jaka ich wartość, mógłby wszystkich oskarżonych zaliczyć do kategoryi katorżników. Jak daleko *Swiet* zaszedł w swoich wywodach, wymownie świadczy następująca jego notatka: „Jakkolwiek miłem byłoby dla Rosyan, ażeby naród polski ściśle się z nimi złączył pod względem kościoła, to jednakże w warunkach dzisiejszych niepodobna stawiać tego żądania w programie polityki rosyjskiej," gdyż chcąc takie plany wykonać, należałoby „popełnić straszny gwałt na Polakach." Otóż pismo proponuje inną drogę: „odpolszczenie kościoła. „Tym sposobem można będzie „uwolnić od ucisku polskości wszystkich katolików, nienależących do narodowości polskiej." Zarazem środek taki „nie dotknie w niczem ani sumienia katolików Polaków, ani praw kościoła katolickiego w Rosyi, ani zasad wyznania rzymsko-katolickiego. Ażeby do tego celu dojść, *Swiet* proponuje powołanie na katedry biskupie nietylko Polaków, lecz także ludzi z innych narodowości. Oczywiście byłby to środek przejściowy, bo w końcu stworzy on z Rosyan i Polaków jedno stado, nad którem będzie czuwał jeden pasterz. Taką drogę obmyślił *Swiet*, która ma doprowadzić do łagodnego wydarcia Polakom ich wiary!

Birżewyja Wied. postanowiły zbadać wyniki monopolu i opinię publiczną o nim. W tym celu rozesłały kwestyonaryusz, na który nadeszło z górą 3,000 odpowiedzi. Pierwsze dwa pytania: 1) czy ludność woli nowy system sprzedaży i 2) czy wogóle zadowolona jest z wprowadzenia monopolu? — zwrócono z dość ciekawemi i charakterystycznemi odpowiedziami. Na pierwsze 85% mówi *tak!* Ale motywy tego „tak" są różne. Jedni zadowoleni z powodu polepszenia się jakości wódki, drudzy ze zmniejszenia się pijaństwa, inni — z uregulowania czasu sprzedaży, jeszcze inni — z ograniczenia handlu w dnie niedzielne i świąteczne. Tak samo rozmaite są wyjaśnienia odpowiedzi przeczących. Jedni niezadowoleni z tego, że gromadom wiejskim odebrano dochód, inni — z pozbawienia zarobku, jeszcze inni — z rozwoju pijaństwa ulicznego. Dużo odpowiedzi stwierdza zmniejszenie się pijaństwa wogóle. Na przeszkodzie w tej mierze stoją tylko traktyernie i piwiarnie. Co do pijaństwa dzieci, większość zaprzeczyła istnieniu tego zjawiska Tam zaś, gdzie wyjątkowo one istniało, obecnie bądź zmniejszyło się, bądź znikło zupełnie. Prawie jednakowo również brzmią odpowiedzi, dotyczące przejścia pijaństwa do rodziny. Dotarło one tam w rozmiarach stosunkowo niewielkich. Natomiast w wielu miejscowościach spostrzeżono przeniesienie się pijaństwa na ulicę. Skutkiem tego w pobliżu sklepów monopolowych stanieły mieszkania, skutkiem awantur ulicznych, których nie mogą znieść mieszkańcy trzeźwi i spokojni. Wogóle stwierdzono, że pijaństwo zagnieździło się przeważnie w różnych skrytkach. O zastawianiu różnych przedmiotów w fanciarniach na wódkę, odpowiedzi brzmią w ten sposób, że z nich nie można mieć dokładnego pojęcia. O zmniejszeniu w stosunku 9[illegible] dni marnowanych w próżniactwie dali wyczerpujące odpowiedzi, obok ludzi prywatnych, inspektorowie fabryczni i administratorowie zakładów przemysłowych. Władze sądowe, policya i lekarze stwierdzili zmniejszenie się chorób na tle alkoholizmu, jak również przestępstw, wynikłych z pijaństwa. Jak monopol oddziałał na materyalne warunki bytu ludności, nie jeszcze nie wiadomo, z powodu krótkiego okresu istnienia handlu skarbowego. To tylko wiadomo, że kobiety włościanki podobno w wielu miejscowościach błogosławią reformę.

Co do osób, sprzedających wódkę, stwierdzono ich przykre położenie. Stosunek ich do władzy jest niepewny, nieokreślony, ludność zaś przeważnie traktuje ich wrogo za to, że są wiernymi wykonawcami rygoru handlowego, że nie chcą spożywcom otworzyć kredytu. Pewnemu pracownikowi w sklepie monopolowym chłopi nie pozwolili korzystać ze swojej studni: „Nie sprzedaje nam wódki na kredyt — nie dostanie wody!"

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 7 Grudnia.

Dwie dusze w ciele junkrów pruskich. — Harden i Heine w więzieniu.

Nie możemy przejść od łóżka do okna, aby nie przekroczyć co najmniej trzy razy przeciwko kodeksowi karnemu. Ileż czynów naszych ministrów i deputowanych a nawet — *nomina sunt odiosa* — można podprowadzić pod rubrykę grubych przestępstw." Słowa te, które mogą wywołać gwałtowny przypływ krwi do głowy każdego lojalnego obywatela, wygłosił nie jakiś gryzipiórek, krytykujący w czambuł wszystkich i wszystko, nie wichrzyciel podkopujący fundamenty porządku i ładu społecznego, lecz we własnej osobie sam Bismarck. Przytoczoną sentencyę znajdujemy w jego pamiętnikach, zdobiących od tygodnia okna wystawowe wszystkich księgarń. Czyż to nie najlepszy dowód, iż dusza pruskiego ministra jest wielką tajemniczą zagadką? Jakże bowiem wytło-

maczyć fakt, iż w życiu prywatnem, w kole znajomych, a zwłaszcza w stanie spoczynku ci mężowie stanu pozują na ludzi światłych i uprzejmych, a co gorsza—bratają się z żywiołami przewrotowymi, podczas gdy w sferze urzędu sympatyzują z Inkwizycyą. Bismarck w ostatnich latach swego życia jawnie popierał dążności, które dusił i deptał, znajdując się na wyżynach władzy; artykuły *Hamburger Nachrichten* pisane za jego dyktandem tchnęły taką nienawiścią do obecnych porządków, iż nieraz mógłby pod nimi podpisać się bez ujmy dla swych przekonań jakiś Richter lub Bebel. Kubek w kubek to samo czynią dzisiejsi ministrowie. Ks. Hohenlohe przez długi czas urządzał u siebie literackie wieczorki, poświęcone czytaniu rzeczy w wysokim stopniu nielegalnych. Kanclerz państwa jest osobistym przyjacielem Alberta Langena wydawcy „Simplicissimusa," jakkolwiek to humorystyczne pismo chłoszcze niemiłosiernie urzędowe Niemcy. A jednak ci sami ministrowie zawzięcie prześladują osobistości, które śmiało wywijają biczem satyry! Tolerancya i liberalizm uchodzą tylko za zielonym stolikiem i w sferze prywaty, u steru zaś obowiązują święte tradycye pomorskiego junkierstwa.

Dwie najwybitniejsze indywidualności świata dziennikarskiego Niemiec, zgryźliwy publicysta Harden-Apostata i genialny karykaturzysta Heine powędrują wkrótce do więzienia. Harden, niemiecki Rochefort w miniaturze, staranniej wykonanej od oryginału, rozpoczął swą karyerę jako aktor. Pałając żądzą sławy, udał się na występy do Helgolandu, woląc być pierwszym na bezludnej wyspie, niż ostatnim w stolicy. Ale rozgłos ten nie zaspokoił widocznie ambicyi młodzieńca. Artysta spalił za sobą mostki teatralne i przerzucił się do publicystyki. Liberalna prasa przejęła go po pewnym czasie tak dalece obrzydzeniem, iż szukał schronienia na jej lewem skrzydle, skąd przypuszczał gorący szturm do warstw wpływowych. Wtedy dał się on po raz pierwszy poznać jako pisarz o świetnym, błyskotliwym stylu, pełnym jadu i humoru. Nareszcie po kilkoletniem tułactwie literackiem założył sobie własne ognisko publicystyczne, otwierając je naoścież dla wszystkich, co zechcą walczyć z opinią publiczną. Tkwi w nim żyłka złośliwego psotnika i buntownika oraz zwolennik Nietzschego; przeto bije on pokłony wszystkiemu, co uderza odrębnością. Mniej obchodzi go słuszność zdania, niż jego odmienność i wybitność. Wszystkie sfery życia przegryzła rdza zastoju. Radykałowie tak samo nie znoszą herezyi w swym obozie, jak najprawowierniejsi zachowawcy. Oto dlaczego Harden chcąc uniknąć niebezpieczeństwa odrętwienia w stanie dogmatyzmu i naśladownictwa, otoczył się rzeszą ludzi kroczących przeciwko prądowi. Cokolwiek kto wygłosił, był mile widzianym gościem w jego piśmie, o ile powiedział coś nowego, gorszącego tłum, publiczność i powagi. Zabierali tam głos ludzie rozmaitych narodowości i wszelkich przekonań. W *Zukunft* panuje zupełna wolność poglądów. Harden nie odmawiał swej gościnności nawet tym, co obierali sobie jego pismo za miejsce napaści na jego własną osobę. Pomimo tej tolerancyi i pstrej masy współpracowników *Zukunft* nie stało się domem noclegowym dla rozbitków i przybłędów, ani też wieżą Babel, gdyż zachowało cechy jednolitości i zajęło w prasie naczelne stanowisko. Zwłaszcza artykuły samego redaktora uznano za prawdziwe arcydzieła publicystyki. Pomimo szafowania cytatami ni w pięć ni w dziewięć, pomimo zbyt sutej ornamentyki stylowej, zdradzają one niekłamaną chęć autora zgłębienia gruntownie każdej kwestyi. Wyraźnie przebija walka z samym sobą w celu wyrobienia sobie słusznego poglądu na rzecz. Są to niekiedy traktaty pisane krwią serdeczną w uroczej formie. H. wypowiedział w nich — jak rzekliśmy—wojnę wszystkiemu, co uchodzi za niezbitą prawdę w oczach tłumu. Lecz takie zrządzenie z zasady może doprowadzić do fatalnych nonsensów, a krytyka dla krytyki jest narzędziem obosiecznem.

Autor, jako prawdziwy fanatyk, kilkakrotnie padł ofiarą swego konika. Gdy usunięto Bismarcka, a ten sam tłum, który całował niewolniczo jego stopy, zaczął kamienować obelgami pokonanego tytana, Harden, były jego przeciwnik, zaczął kruszyć kopię w jego obronie, a Capriviego przywitał gradem kpinek. Gdy wyszły na jaw sprawki pozakulisowe szpiega Tauscha, Harden na przekór całej prasie ujął się za tym jegomościem, stawiając kwestyę na ostrzu noża: czy niemoralna instytucya szpiegostwa może posługiwać się dżentelmenami? Powołany przed sąd jako świadek, bronił tam tej samej zasady i twierdził, iż winnym jest tu nie jeden Tausch, lecz całe społeczeństwo, które toleruje i uświęca tę instytucyę. Nie przeszkodziło mu to po kilku miesiącach ogłosić listu przeciwko kamaryli, listu, który pozostanie pomnikiem literatury politycznej. Jego patos i odwaga przyjęły tu formę klasyczną, nieznaną od czasów Jana Jacobiego, wielkiego i nieskazitelnego charakteru. Ponieważ nie należy on do żadnego ustalonego kierunku, sfery urzędowe przez długi czas nie wiedziały, co począć z fantem, do którego się nikt nie przyznaje, z pisarzem jednakowo nienawidzonym przez wszystkie obozy. Przed pięcioma laty zdecydowano się pociągnąć Hardena do odpowiedzialności. Prezes sądu po przestudyowaniu odnośnych artykułów oświadczył, iż z czystem sumieniem nie może uznać służalstwa za cnotę, a zatem nie dostrzega karygodnego przestępstwa w ostrych wycieczkach Hardena. Ta odwaga sędziego, przepłacona przez niego tranzlokacyą do głuchej prowincyi, zaimponowała nawet Bismarckowi, gdyż razu pewnego przy obiedzie wobec licznie zebranych dostojników wypił zdrowie odważnego sędziego. Przed kilkoma miesiącami ministrowie nanowo wyciągnęli rzecz z pod korca. Wyznaczeni do roztrząsania sprawy sędziowie chcieli wykręcić się urlopami, aby uniknąć nieprzyjemnego obowiązku. Ministrowie tym razem nadali rzeczy obrót pomyślny dla siebie: Harden został skazany na 6 miesięcy więzienia. Wybitny publicysta znalazł towarzysza niedoli w osobie rysownika Heinego. Od 3 lat wychodzi w Monachium humorystyczne pismo „Simplicissimus," wyróżniające się z plejady innych tem, iż zerwało z tradycyą tego działu literackiego i zamiast łagodnego humoru, wyszczerzyło zjadliwie zęby. Cięgi rozdawane przez współpracowników „Simplicissimusa" rozlegały się nie echem łagodnego chichotu, lecz świstem nieubłaganej satyry. Pierwsze miejsce w tej drużynie młodych talentów zajął Tomasz Teodor Heine, mistrz na polu satyry politycznej i obyczajowej. Jego szkice z życia rodziny wywołały szczere oburzenie w świecie „korzenników" i filisterstwa. Młody cichy rysownik w swych karykaturach, wybitnych pod względem artyzmu i pomysłowości, poddał współczesną rodzinę krytyce, jakiej chyba nie podjął się nikt w czasach nowszych. Oto kilka próbek: Matka, odwiedzając rano syna, studenta, zapytuje ze zgrozą o znaczenie szpilki do włosów, znalezionej w jego łóżku. Trudno oddać w wyrazach fizyognomię studenta i obecnego przy tej scenie ojca. Nauczyciel przynosi rodzicom Hiobową wieść o wydaleniu ich syna ze szkoły, gdyż podrostek złapany przez mentora nocną porą w kawiarni z damską usługą, nietylko nie okazał skruchy, lecz zawiadomił na domiar złego żonę bakalarza o tem spotkaniu z jej mężem. Twarze rodziców i pięknie zapowiadającego się młodziana, rysowane kreskami, nie dadzą się opisać. Rentierzy przyjmują swą kuzynkę jako pokojówkę pod warunkiem, iż nie odważy się zdradzić swego pokrewieństwa z chlebodawcami. A oto starzec cuci małżonkę omdlałą na widok świeżo poślubionej żony wnuka, która w spodniach cyklistki przyjeżdża rowerem w odwiedziny ze swym mężem. Inna scena: Profesor otrzymawszy po długich trudach homunculusa drogą chemiczną, nawołuje swych łysych kolegów i uczniów o bezmyślnych twarzach do wszczęcia propagandy przeciwko niemoralności płciowej. A jakże pyszną jest matka, która przedstawia swej licznej dziatwie trojaczki przyniesione przez bociana. Po za jej plecami zaciera ręce z radości uszczęśliwiony ojciec, dumny z tego wypadku. Żebraczka na widok porcyi postawionej przed opasłym „panem psem" prosi o resztki z uczty pudla. Z nieskończonego mnóstwa innych szkiców wymienię jeszcze jeden, gdzie autor przedstawił wędrowną trupę komedyantów, piekących pożądliwie na ogniu schwytanego psiaczka. Heine odtworzył siebie samego w osobie jednego z obdartusów; grzejąc się na słońcu w kupie potwornych łachmanów, kurzy on w zadumaniu swą machorkę i nie troszczy się o ucztę, która jako niezwykły wypadek napełnia niewysłowioną radością towarzyszów. W przedostatnim numerze zilustrował on, jak wykona swój przyszły rysunek w kajdanach.

H. F.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Tania literatura.

Pomysł tanich książek dla czytelników ogólnie ukształconych nie jest u nas nowy. Przed dwudziestu kilku laty powziął go i z powodzeniem wykonał p. Wiślicki. Dopiero wszakże śmiała i zręczna spółka nakładców, którzy robią coraz większe podboje w naszym świecie wydawniczym, pp. Granowski i Sikorski, urzeczywistnili go w bardzo szerokiej mierze swą „Biblioteką dzieł wyborowych." Za nimi pospieszyła *Gazeta Polska*, która ofiarowała swym abonentom darmo 52 tomy; za nią — *Wiek*, który daje również bezpłatnie ilość pewną książek dawniej wydanych, wyrównywającą cenie jego rocznej prenumeraty, dalej — *Kuryer Codzienny* ze Słowackim i *Tygodnik Ilustrowany* z Sienkiewiczem. Przez te kanały, licząc przybliżenie, po społeczeństwie naszem rozpłynie się około 1½ miliona tomów rocznie, które w poprzednim biegu rzeczy nie wyszłyby wcale lub nie rozeszły się. Jest to fakt tak poważny, że zasługuje na rozważenie.

Półtora miliona tomów rocznie — jest to w każdym razie ogromny strumień światła. Zawdzięcza on swe źródło wyłącznie spekulacyi. Nakładcy „Biblioteki dzieł wyborowych" nie mieli na widoku żadnych celów kulturalnych przed rozpoczęciem „interesu," nie pozostawali w żadnym związku z literaturą. Chcieli tylko i — jak okazały skutki — umieli obmyślać i przeprowadzać zyskowne obroty. Jako właściciele skromnej drukarni, rzucili się naprzód do wydawania pisma

obrazkowego, następnie — wielkiej encyklopedyi, a gdy oba te przedsięwzięcia powiodły się, trafili na złotą żyłę taniej biblioteki. Podobne wszystkie te operacye, a zwłaszcza ostatnia, przyniosła im domy, dobra ziemskie i inne dary fortuny. Była to więc szczęśliwa gra w loteryę, taka sama, jak nabycie kawała ziemi z głębokiem gniazdem rudy żelaznej, lub pożyczki premiowej z numerem, na który padł wielki los. Ale ze stanowiska interesu społecznego co nas to wszystko obchodzi? Co nas obchodzi, że pp. Granowski i Sikorski wtargnęli do literatury z planem czysto kupieckim, że z niej wyłowili dowcipnie zrobioną siecią obfite zyski, że mieli na względzie przedewszystkiem dobro swej kieszeni, a nie pożytek ogółu? Nie potrzebujemy wcale rewidować ich pobudek, a nawet dojrzawszy je, ganić, gdyż są to sprężyny, poruszające całą maszynę tegoczesnej wytwórczości materyalnej. Można pragnąć i dążyć, ażeby życie było inne, ale należy brać je takiem, jakiem jest. W tej zaś rzeczywistości baczyć winniśmy głównie na to, czy i o ile społeczeństwo korzysta na podobnych spekulacyach? Otóż w obecnym wypadku niewątpliwie — tak. „Biblioteka dzieł wyborowych," jak olbrzymi tłok, wpycha w ogół nasz ogromną masę książek, które nie zawsze posiadają wysoką wartość, ale między któremi są bardzo cenne. Obszerne koło abonentów nabywa je i czyta, czyta zamiast gnuśnieć, obsiewa mózg ziarnem myśli, zamiast wyjaławiać go plotkarstwem i ogłupiającemi rozrywkami. Nadto ludzie ubożsi, a łaknący pokarmu duchowego, otrzymują go tanio, za cenę nieobciążającą najskromniejszych środków, bo sprowadzoną do 2 kop. za arkusz druku.

W mniejszym zakresie, ale podobne znaczenie mają bezpłatne dodatki *Gazety Polskiej* i *Wieku*. Oba te dzienniki zdobyły się również na tę ofiarę w widokach spekulacyjnych dla pomnożenia nią zastępu swych prenumeratorów, ale rozszerzyły czytelnictwo. Nadto chociaż *Wiek* nie przysporzył literaturze naszej nowych wydawnictw, gdyż uruchomił tylko dawne, wszakże przyznać trzeba, że bez jego pomocy długo by one jeszcze pokutowały w magazynach księgarskich, a może nawet nigdyby z nich się nie wydobyły. Mniejszą wagę posiadają dodane bezpłatnie do *Kuryera Codziennego* dzieła Słowackiego, a do *Tygodnika Ilustrowanego* — pisma Sienkiewicza, gdyż obaj ci autorowie są bardzo rozpowszechnieni.

Ostateczny więc wynik tych operacyj księgarsko-handlowych jest dla społeczeństwa dodatni.

Jednak nie bezwzględnie, łączy się on bowiem z pewnemi ubocznemi następstwami, które na naszą literaturę oddziałają ujemnie. Przedewszystkiem rzucenie na rynek wydawniczy tak wielkiej masy taniego towaru zatamowało prawie zupełnie zbyt droższych. Odczuli to nakładcy, którzy nagle ujrzeli ściośniające się koło nabywców książek średniej lub wyższej ceny. Oszołomiona lub uwiedziona publiczność żąda książki albo darmo, albo za kopiejki. O rublach nie chce słyszeć. Sądzi ona, że nastąpił gwałtowny przełom w produkcyi wydawniczej, że odtąd, jak po odkryciu nowych źródeł nafty lub udoskonaleniu maszyn do wyrobu perkalu, co kosztowało dawniej rubla, to teraz kosztować będzie kilka kopiejek i że ta zniżka pozostanie już stanem trwałym. Ludzie rozumniejsi, a zwłaszcza ci, którzy nie patrzą na literaturę ze stanowiska produkcyi towarowej, pojmują, że spekulacya może tylko w pewnych granicach zepchnąć ceny na bardzo nizki poziom, że książki wymagające znacznych nakładów i przeznaczone dla szczuplejszego koła czytelników muszą utrzymać się przy dawnej skali pieniężnej, ale niezapuszczający się głęboko w tę sprawę ogół pamięta tylko o taniości. Co mówi w sklepie kupiec do klientki, nieznającej się na materyale i twierdzącej, że gdzieindziej sprzedają *taki sam* po 20 kopiejek, podczas gdy on żąda rubla, to powtarza księgarz niejednemu ze swych nabywców i przekonywa go — daremnie. Nieraz tłomacząc się, że za jakieś dzieło musi wziąć więcej, usłyszy on: pójdę do Granowskiego i Sikorskiego — to dostanę za 19 kop., albo zaprenumeruję *Gazetę Polską* — i dadzą mi darmo.

Rzecz naturalna, że nakładcy, strwożeni tym objawem, cofają się od wydawnictw kosztownych i zwracają się ku takim, które im pozwalają współzawodniczyć taniością. Wywabiają na widownię autorów pośledniejszego gatunku, obcinają zarobki drukarzom i zecerom, wyzyskują wszystkie siły pomocnicze i operują głównie przedrukami. W dziesiątkach tysięcy egzemplarzów wylatują z pod pras utwory, które powinnyby pozostać tylko pamiątką bibliograficzną, fabrykują się przekłady, mnoży się tandeta i odnawia starzyzna, która bez żadnej szkody dla społeczeństwa mogłaby pozostać niezrodzona w głowach swych twórców lub niewskrzeszona w grobach literatury. Kapitał wielki, który gromadzi swe zyski z wielkich obrotów, może od czasu do czasu pozwolić sobie na puszczenie tanio szeroki obieg czegoś kosztowniejszego; ale kapitaliki drobne ratują się partactwem, przedrukami i tłomaczeniami, umożliwiającemi tanią sprzedaż. Narody liczne, oświecone, z językami rozpowszechnionymi, pochłaniają i ten balast i dzieła wartościowe, ale społeczeństwa małe, ze słabą kulturą i językami ograniczonymi do ich własnych potrzeb, wkrótce tak się przesycają literaturą tanią, że nie chcą spożywać droższej. Objaw ten zaczyna już u nas występować bardzo wyraźnie, a spekulacya nada mu jeszcze większe rozmiary i na pewien czas powstrzyma ruch wydawniczy, który nie będzie chciał i mógł rozwijać się w jej kierunku.

Jeżeli tedy przypuszczenie nasze nie jest mylnem, literatura polska w najbliższej epoce toczyć się będzie jako rzeka szeroka, lecz płytka, gdyż ile zyska na rozsunięciu swych brzegów, tyle straci na głębokości swego nurtu. Czy korzyść przeważy szkodę — lub odwrotnie? Trudno na to pytanie odpowiedzieć ściśle, zdaje mi się wszakże, iż tania literatura da nam więcej skutków dobrych, niż złych. Bo jakkolwiek chwilowo może sparaliżować wytwórczość umysłową, przez rozrzucenie jednak po społeczeństwie masy książek, któreby do niego nie dostały się w tej ilości, rozbudzi niewątpliwie zamiłowanie do czytania, z którego później skorzysta wartościowa produkcya piśmiennicza. Zresztą jeżeli prąd nowych źródeł geniuszu i wiedzy będzie posiadał należytą siłę, przedrze on się głębokiem łożyskiem przez wszystkie mielizny i zatory wydawnictw popularnych. Kto czyta najmizerniejsze bajdy, może zasmakować kiedyś w książkach pięknych i pouczających; ale kto nie czyta niczego, nie budzi nadziei, ażeby się wyleczył z drukowstrętu. Więc pomimo pewnych ujemnych następstw spekulacyi wydawniczej w kierunku taniości, musimy ją uznać za czynnik pożytku społecznego. Czuwać tylko winniśmy, ażeby ona nie wynosiła na rynek zbyt lichego towaru. Jak każdy handel, będzie ona starała się dogadzać upodobaniom większości spożywców, które— sądząc z próby głosowania przeprowadzonego przez redakcyę „Biblioteki dzieł wyborowych" — nie zawsze odpowiadają miarom krytycznym. Na to niema innej rady, tylko uświadamianie ogółu w jego potrzebach i korzyściach umysłowych, oraz w jego wymaganiach. Dziś najwięcej zwolenników może mieć jakaś ramota powieściowa, a za lat kilka przejdą oni do *Historyi polskiej* W. Smoleńskiego lub *Historyi literatury* P. Chmielowskiego. A nasze ubóstwo materyalne ma także swoje prawa, ażebyśmy mu dawali książki tanie.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

W SFERZE IDEAŁU.

Dr. Antoni Złotnicki: *Człowiek, istota jego i przyszłość.* Studyum psychologiczne. Warszawa str. 205.

Zjawiła się na wystawach księgarskich praca dr. A. Złotnickiego pod nagłówkiem: „Człowiek, istota jego i przyszłość." Doprawdy, nie umiałbym zanalizować należycie, jakie pobudki we mnie działają, czy moja stara znajomość z autorem, czy dowody wspólnych sympatyj i wstrętów, rozsiane na stronicach książki, czy wreszcie pewne marzenia młodości—odróżniam przekonania od marzeń, jedne pozostają i mężnieją, a drugie przechodzą, gdy doświadczenie wzrasta — dość, iż wobec dzieła Złotnickiego jestem najzupełniej rozbrojony z argumentów. O niejedno chciałbym się z nim pokłócić, a przynajmniej posprzeczać, zwłaszcza zaś gdy, jak w półmgle, lekkiemi stopy ledwie dotyka ziemi i zamiast silnych jej zarysów daje słabiuchne kontury, uwypuklając natomiast jaźń wewnętrzną człowieka. Czuję przecież, że w tem właśnie tkwi jądro uroku, który powiewa z kartek tego studyum psychologicznego. Wszelkie słowo krytyki zamiera mi na ustach pod tchnieniem wiary i zapału, unoszących się z martwych wyrazów książki. I niekiedy nawet gniewa mnie to, że ktoś prócz mocy przekonań zdołał dochować jeszcze tyle złudzeń i że inni o wiele młodsi i nawet bardzo młodzi tyle mają w sobie oportunizmu, tak mało polotu idejowego, przedewszystkiem zaś zainteresowania wielkiemi zagadnieniami życia, nauki i sztuki. W studyum A. Złotnickiego mamy nietylko pracę publistyczno-naukową, ale także wyznanie wiary — wiary, która miała prawdopodobnie swoje ciężkie chwile, ale ostatecznie oparła się przeciwnościom i wyszła zrównoważona i stała się jakby drugą naturą człowieka.

Jeszcze raz powtarzam: jestem bezsilny wobec tego zapału, który miejscami w książce wydał z siebie zaiste piękne ustępy, i tej wiary, której treść pojmuję i z której zasadniczymi akordami sympatyzuję. Studyum rozpoczyna się czyjemś wyrzeczeniem: „naucz się poznawać siebie w naturze, a poznasz naturę w sobie." Słowa te streszczają w sobie cały charakter pracy Złotnickiego. „Umysł ludzki— powiada on na początku w przedmowie— błąkał się przez długie wieki po zabagnionym gruncie metafizyki, gonił za błędnymi ognikami, pragnąc przy ich świetle znaleźć rozwiązanie zagadki swego istnienia, lecz zawsze powracał z tych wycieczek tam, skąd wyszedł, nie mogąc ani na krok posunąć się naprzód w kierunku osiągnięcia upragnionego celu. Badania psychologiczne lat ostatnich rzuciły dopiero światło na najciemniejszą dotychczas stronę naszego bytu i wykazały, że przepaść, mająca dzielić nas od natury, nie istnieje i że nie w odosobnieniu zatem, ale w związku z naturą człowiek badany być powinien. Dziś dopiero jesteśmy w stanie zapuścić wzrok swój ba-

dawczy w swoją duszę i poznać, czem byliśmy, czem jesteśmy i czem być możemy.“ Nie pójdziemy przecież za autorem po całym przestworzu jego wywodów, poprzestaniemy tylko na jednej stronie jego poglądów, tej, gdzie rozbiera stosunek życia do ideałów.

Wielu, wychodząc z mechanicznego ustroju świata, twierdzi, iż takie pojmowanie niszczy w nas wszelkie porywy w kierunku urzeczywistnienia marzeń i nawet uniemożliwia istnienie jakichkolwiek ideałów.

„Świadomość, że wszystko w naturze dokonywa się deterministycznie, obezwładnia nas; z istot samodzielnych czyni nas narzędziami, służącemi do urzeczywistnienia ukrytych przed nami planów; ideały nasze sprowadza do bezpłodnych porywów uczuciowości.“

Dr. A. Złotnicki jest stanowczym przeciwnikiem takiego powierzchownego zapatrywania się, nieuświadamiającego sobie różnicy, jaka istnieje pomiędzy prostym determinizmem a fatalizmem. Jego zdaniem, poczucie samodzielności, w każdym człowieku obecne, nietylko nie może uledz zniszczeniu przez świadomość, iż wszystkie nasze czyny, myśli i pragnienia są rządzone determinizmem, lecz owszem, bez wiary w determinizm mechanistyczny, takie poczucie samodzielności byłoby nawet niemożliwe. Gdyby przyroda działała niedeterministycznie, okoliczność ta ujawniłaby się podmiotowo, tj. w naszej świadomości, w poczuciu zupełnej niewoli. Wtedy nie moglibyśmy nic przewidzieć, ani posługiwać się określonymi środkami ku osiągnięciu zamierzonych celów, a właściwie nawet nie moglibyśmy ich stawiać przed sobą, są one bowiem możliwe jedynie przy istnieniu pewnego stałego, niczem nienadwyrężanego porządku w przebiegu zjawisk. Nauka zatem, wykazując istnienie w przyrodzie stałego sprzężenia zjawisk, nietylko nie odbiera poczucia samodzielności człowiekowi, ale raczej je potęguje i czyni nas wolniejszymi.

Naturalnie, to samo stosuje się do ideałów. Wiedza bynajmniej ani ich nie gasi, ani nie wystudza, nie poniża ich doniosłości, tylko wzmacnia i stwarza grunt, ułatwiający i przyspieszający ich urzeczywistnianie.

Dążyć do czegoś, mieć jakiś ideał, to znaczy odczuwać pewien brak. Pragnienia i marzenia, wreszcie ideały występują tem wyraźniej, im pewien brak jest silniej odczuwany, im życie bardziej jest powstrzymywane w zaspokojeniu owej potrzeby. Ideały są zatem wyrazem poczucia niedoskonałości życia i zarazem próbą ich sharmonizowania. A chociaż mają one istnienie tylko idejowe, podmiotowe, są jednak dla nas pewną rzeczywistością, częścią naszego życia wogóle i treścią życia duchowego. Wyrzućmy z naszej jaźni dążenia, pragnienia, marzenia, słowem wszelkiego rodzaju ideały, co w niej naówczas pozostanie? Ideały, to nasza dusza człowiecza, to nasze „ja“ czujące i myślące.

Świat ideału uzupełnia świat rzeczywisty i przetwarza go na obraz i podobieństwo swoje. Świat ten istnieje i jest dla nas ważniejszy od realnego, przedmiotowego.

To uzupełnienie bywa bardzo różnorodne odpowiednio do sfery, którą badamy. Inaczej bowiem wygląda w dziedzinie nauki, inaczej — uczucia.

Rozum, ta organizacya pojęć, posiada swoje rozdźwięki wewnętrzne, swoje potrzeby i ideały. Całkowita harmonia zapanowałaby w nim, gdyby wszystkie pojęcia zlewały się w zgodną, spójną zwartość, tj. gdyby świat zewnętrzny odbijał się w nim doskonale swymi stosunkami, jak w zwierciadle. Umysłowość nasza składałaby się wtedy ze stałych, sharmonizowanych z sobą wyobrażeń. Lecz taka harmonia, to rzecz niedościgniona nigdy, chociaż do niej zawsze dążymy. To dążenia ujawniają się w filozofii, która właśnie jest próbą urzeczywistnienia ideałów intelektualnych. Jest ona swego rodzaju sztuką, usiłującą ująć stosunki całego świata w formuły na podstawie pojęć znanych, tak samo jak estetyka stara się zrobić to samo w innym zakresie, tj. ująć świat w formy piękna na zasadzie wrażeń odczutych, jak wreszcie sztuka reformatorska przedstawia chęć ujęcia życia zbiorowego w stosunki etyczne na podstawie wzorów istniejących. Dlatego filozofia nie jest ani oddzielną nauką, ani nauką nauk, ani też zbiorem ostatecznych wniosków nauk specyalnych, lecz usiłowaniem uzupełnienia wiedzy naszej naukowej przez tworzenie hypotez i teoryj, a właściwie przedstawia ona próbę umysłu ku sharmonizowaniu wszystkich swoich składników.

Obok świata rzeczywistego i świata nauki istnieje jeszcze inny, który człowiek stworzył dla samego siebie—świat sztuki. Fakt jego istnienia dowodzi, iż świat natury nie wystarcza człowiekowi, ani nie zadawala wszystkich potrzeb. Treścią sztuki, tak samo jak filozofii, jest szukanie harmonii. Ograniczoność energii naszej jest przyczyną — w zakresie nauki — upraszczania i uogólniania zjawisk przyrody, odnajdywania w nich podobieństwa i tożsamości. Umysł nasz przyswaja sobie tylko to, co jest stałem, zasadniczem w świecie, zmuszony zaś jest pomijać wszystko zmienne, przypadkowe. Dzięki tej samej właściwości naszego ducha odczuwamy piękno. Tylko ograniczony zapas energii nerwowej naszego mózgu i ograniczona wrażliwość naszych zmysłów stwarza istnienie piękna. Gdyby zmysły nasze były tak wrażliwe, iż spostrzegalibyśmy najdrobniejsze szczegóły form natury, to ono nie istniałoby dla nas. Dziedzina ta, tj. piękna, jest sferą złudzeń ustawicznych i ciągłych tajemnic. Piękno nie znajduje się w przyrodzie, lecz powstaje w nas i tylko dzięki naszej wyobraźni. Tej ostatniej nie chodzi o prawdę zewnętrzną, przedmiotową, tylko o wewnętrzną, o prawdę wrażeń i uczuć. Logika wyobraźni jest inną, niż rozumowania oderwanego; co dla ścisłego wnioskowania może być kłamstwem, to dla niej jest prawdą.

Tak powstają ideały i takie zadanie spełniają w naszem życiu duchowem — uzupełnień, stwarzających tam harmonię. Ich urzeczywistnieniem są czyny nasze.

Postępki nasze odzwierciedlają treść naszego „ja,“ pokazują, czem jesteśmy w swych dążeniach, co nas porywa, entuzyazmuje, interesuje. Filozof, artysta, filantrop, misyonarz, reformator społeczny, oto realizatorowie ideałów, obejmujących szerokie zakresy życia. Są to dusze wrażliwe, głęboko odczuwające rozdźwięk rzeczywistości, która ich uderza i dlatego usiłuje ją sharmonizować przez wcielenie jej ideowego uzupełnienia, jakie ona w nich wytwarza. To, co w nas jest charakterystycznego, zasadniczego, jest takiem samem w naszych ideałach i w naszem życiu. Urzeczywistniając ideały swoje, uzupełniamy siebie samych, doskonalimy się w kierunku, odpowiadającym naszej organizacyi duchowej, oraz uzupełniamy otoczenie, w którem żyjemy, rzeczywistość, którą odczuwamy. Ideały te powstają z nas, są one tworem życia i z niego wyrastają. Gdy życie się łamie, wówczas one zwężać się muszą i schodzić do nicości. Ludzie, którzy nie mogą urzeczywistniać swej treści wewnętrznej i wcielać w otoczenie tego, co stanowi zadanie ich ducha, cierpią całą głębią swojej uczuciowości i zwracają swe pragnienia ku posępnym obrazom. Ostatniem dążeniem takich osób w metafizyce jest nirwana, do której świat jakoby miał zmierzać; ostatniem ich słowem w moralności jest rzekomy upadek ludzkości, który ma być nieunikniony; wreszcie ostatnim wytworem sztuki jest ból istnienia, mający być przeznaczeniem naszego rodu. Dla bankrutów ducha życie nie może być czem innem, tylko ogromem nienasyconych pragnień, niezniszczonych ideałów.

Pozwolimy sobie zakończyć tę naszą wycieczkę pewnym ustępem z książki A. Złotnickiego:

„Najwyższą rozkosz, najwyższe dobro, najwyższe piękno, najwyższą prawdę czujemy wtedy, gdy nasze *ja* traci swe granice, gdy zlewa się z *my* i w nie się zamienia. Współczucie ogarnia nas całkowicie, jednoczymy się z przedmiotem naszego podziwu, stajemy się najwyższą możliwie harmonią, tęsknimy do tych chwil, chcielibyśmy je uwiecznić, zdaje się nam, że dla odczuwania takiego niczem niezakłóconego szczęścia, istniejemy i chwile przelotne, w których je odczuwamy, uważamy za przeczucie odrębnego jakiegoś świata, dalekiego od twardej codziennej rzeczywistości, świata wiecznej prawdy. Takie stany uczuciowe budzą w jednostkach słabych, oderwanych od gruntu społecznego, ulegających rozwojowej degradacyi, pragnienie wyrwania się z wyraźnej, jasnej rzeczywistości i zamknięcia się w dziedzinie mglistej tajemniczości wewnętrznej, ażeby uchwycić i wyrazić w formie odczuwalnej ów szept duszy, ową rzekomą nadzmysłowość, w której ma się ukrywać sens życia. Niektórzy artyści dzisiejsi usiłują urzeczywistnić to pragnienie, starając się wzbudzić swymi utworami nastrój uczuciowy, w którymby owa idejowość bezpośrednia sama przez się odczuwaną być mogła. Odrywanie się jednak takie od rzeczywistości i zamykanie się w sobie, w celu uchwycenia sensu życia, pozostaje zawsze bezowocnem. Tylko poznawanie rzeczywistości i odpowiednie kształtowanie jej może zaspakajać potrzeby naszej myśli, uczuciowości i woli, może nas uszczęśliwić.“

K.

KONIEC ŚWIATA.

Gdyby nauka nie była koniecznym wynikiem szlachetnej dążności umysłu ludzkiego do poznania zjawisk otaczającego nas świata, gdyby nie oddawała nam nawet wielkich usług praktycznych w życiu codziennem, jeszcze i wtedy musielibyśmy ją czcić i wielbić za to, że jest ona jedynym pogromcą przesądów i zabobonów. A ile te ostatnie niezmierzonej szkody wyrządzają i wyrządzały zawsze nietylko jednostkom, lecz i ludzkości całej w jej pochodzie cywilizacyjnym—określić trudno nawet w przybliżeniu; jest to ciekawy przedmiot studyów dla historyka i socyologa. Wiedza ciska w mroki myśli snopy swego tęczowego światła — i oto przed zdumionym wzrokiem człowieka, jak w znanej bajce dziecinnej, na miejscu jakiegoś rozbójnika czy potwora ukazuje się rzecz najprostsza, najzwyklejsza, najniewinniejsza.

Jednym z takich śmiesznych i szkodliwych przesądów, trapiących nas od wieków, jest bojaźń końca świata, a właściwie naszej ziemi. Myśl o zagładzie rodu ludzkiego, o jakimś kataklizmie, który zburzy ziemię naszą, powstała dawno; po raz pierwszy, zdaje się, w r. 1000 ery naszej, gdy jacyś teologowie na podstawie Apokalipsy wyliczyli, że „dzień,“ czy też „chwilę,“ jaką wedle przepowiedni świat ma istnieć, rozumieć należy właśnie przez ten okres. Kronikarze współcześni opowiadają o okropnych skutkach panicz-

nego strachu, który w owej epoce zdjął narody, błądzące w mrokach nieuctwa i mistycyzmu. A choć ów nieszczęsny rok przeminął spokojnie, nawet bez żadnego widomego znaku, sama idea końca świata nie opuściła umysłów ciemnych. Dość było jakichkolwiek przeczuć ludzi t. zw. jasnowidzących, jakiegokolwiek kabalistycznego zestawienia nic nieznaczących liczb lub dat, aby znów zbudził się popłoch. Szczególny przywilej pod tym względem miały zawsze, a pono mają gdzieniegdzie i dziś zjawiska astronomiczne. Zjawienie się jakiejś świetnej, dotąd niewidzianej gwiazdy, brylantowy deszcz meteorów ognistych, a szczególniej zaćmienia słońca i komety przez długi czas niewytłomaczonym strachem przejmowały ludzkość. Prawda, że naturalne objaśnienie tych zjawisk znane jest już oddawna; prawda, że już 2000 lat przed n. Chr dwaj astronomowie chińscy zostali skazani na śmierć, bo zapomnieli uprzedzić o mającem nastąpić zaćmieniu, lecz wiadomości te, dostępne klasom bardziej oświeconym, nie przenikały zgoła do szerszych warstw społecznych. Ludzie starzy świadkowie naoczni opowiadają nam, jaką to śród ludu naszego grozę wywoływały zaćmienia jeszcze przed półwiekiem; wiara w bliski koniec świata, w przyjście antychrysta itd. była wówczas bardzo rozpowszechniona.

Pierwsze kroki wiedzy w jakiejkolwiek nowej dziedzinie są zazwyczaj niepewne, a często — wręcz fałszywe. Przysłowiowa zasada, według której „głupcowi nie pokazuje się pół roboty,“ powinnaby w takich razach mieć jaknajszersze zastosowanie. W głowie uczonego powstaje jakaś nie zupełnie skrystalizowana myśl, jakaś jeszcze niepewna, może nawet i nieprawdziwa hypoteza, a już jakiś ciekawy głupiec, jakiś węszący „sensacyę od wiersza“ pomysłowy reporter, chwyta w lot „genialne odkrycie,“ oblека je w szatę własnego nieuctwa i puszcza w tłum, w którem ono budzi niezliczone nadzieje lub paniczny strach. W ten sposób „rozdmuchują się“ odkrycia Kocha, teorye Schenka, dalekowidze Szczepanika, powstają „fotografie Mont-Blancu zapomocą promieni Roentgena“ (autentyczne!) itp.

Rozpowszechnienie śród tłumu podobnie nie dojrzałych, *nb.* fałszywych teoryj, bezwątpienia znacznie przyczyniło się do utrwalenia przesądów, dotyczących komet, ich łączności z wojną, głodem lub urodzajem, powietrzem morowem i wreszcie — końcem świata. Kometom i ich przypuszczalnemu związkowi z tym ostatnim poświęcił świeżo rozprawę swoją zasłużony już w nauce astronom dr. Marcin Ernst. *) Książka warta, aby się z nią bliżej zapoznać.

Już w bardzo zamierzchłych czasach istniał przesąd, dzięki któremu przypisywano kometom wpływ na zdrowie ludzkie. Czy on zrodził się z fałszywej teoryi naukowej, czy też teorya ta starała się dowieść prawdy, zawartej w „mądrości narodu,“ dziś odgadnąć trudno. Faktem jednak jest, że wielki Arystoteles uważał komety za wyziewy ziemskie, zatruwające powietrze i wywołujące zarazę. Średnie wieki podzielały pogląd starożytnych, z tym dodatkiem, że komety mogą również wywołać lub powstrzymać wybuch wojny, głodu itp. Byli jednocześnie optymiści, którzy w wielotomowych dziełach starali się zrehabilitować smutną sławę komet (jak np. Lubieniecki w „Theatrum cometicum“), samo jednak ich *działanie* wątpliwości nie ulegało. Zresztą jeszcze na początku bieżącego stulecia lekarz angielski, Forster, dowodził prawdziwości teoryi Arystotelesa tym argumentem, że komety nie zjawiają się nigdy w czasach zdrowych; w r. 1818 pewne poważne pismo angielskie donosiło, że „skutkiem komety (z r. 1811) żyto przyniosło obfite żniwo,“ a „żona szewca w Whitechapel... powiła czworaki“; Mickiewicz zaś w „Panu Tadeuszu“ pisze, że ze zjawieniem się tej samej komety, „ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem.“

Aby określić, czy i jaki wpływ mogą wywierać komety na losy ziemi i istot ją zamieszkujących, zatrzymamy się przez chwilę nad własnościami i ruchem tych ciał niebieskich, odsyłając czytelnika po bliższe szczegóły do samej książki. Powiedzieliśmy „tych ciał niebieskich,“ lecz nie należy sądzić, że ta prosta prawda odrazu dojrzała w umysłach ludzkich. Potrzeba było dopiero wiekopomnych badań Tychona de Brahe i Keplera, aby udowodnić bezpodstawność niedorzecznej teoryi arystotelesowskiej, przypisującej kometom pochodzenie ziemskie. Gdy ta kwestya pochodzenia została rozwiązana, nasunęła się natychmiast inna: jeśli komety są to ciała niebieskie, jakim jest ruch ich i kształt orbit? Newton na podstawie swego prawa powszechnego ciążenia doszedł do wniosku, że opisują one w swym biegu dobrze znane krzywe rozwarte, t. zw. parabole i hyperbole. Gdyby tak było rzeczywiście, każda kometa w naszym układzie słonecznym mogłaby się zjawić tylko raz jeden, aby przerazić ludzkość i uciec od niej na zawsze w zawrotne bezmiary nieskończoności. Lecz odkrycie komet peryodycznych, czyli zjawiających się na horyzoncie ziemskim w pewnych określonych odstępach czasu, oraz postępy mechaniki niebios, dzięki którym stało się łatwem określenie drogi ciała niebieskiego na podstawie trzech tylko zaobserwowanych jego położeń na niebie, zadało kłam twierdzeniu Newtona. Dziś wiemy już, że komety biegną nietylko po hyperbolach i parabolach, lecz i po krzywych zamkniętych, czyli elipsach, podobnie jak i inne nam znane ciała niebieskie. Biegnące po tych ostatnich drogach są peryodyczne; znamy ich już bardzo wiele, zwłaszcza teleskopowych, tj. takich, które tylko za pomocą silnych narzędzi astronomicznych dojrzeć możemy. Jeśli tak jest, to wobec ogromnej liczby tych komet peryodycznych *à priori* przypuścić możemy, że drogi niektórych przecinają się z orbitą ziemi; gdy więc kometa i ziemia znajdą się jednocześnie w punkcie przecięcia dróg swoich (co jest możliwe), nastąpi wówczas ich spotkanie. Dość było, aby ta teorya wyszła po za próg pracowni uczonego, dość było, aby słynny Lalande zapowiedział odczyt „O kometach, które mogą zbliżyć się do ziemi,“ a rozdmuchana przez nieuctwo i głupotę pogłoska dorosła rozmiarów bajecznych i wzbudziła straszną panikę, szczególnie gdy ktoś zapewnił, iż „Lalande miał zamiar przepowiedzieć na 12 maja (1772 r.) zburzenie ziemi skutkiem spotkania się z kometą, lecz policya mu tego zabroniła.“ Gdy jednak „jeden z księży — jak mówi anegdota — nie mogąc sobie dać rady, gdyż dniem i nocą oblegali go kający się grzesznicy, wygłosił z ambony dla uspokojenia ludzi, iż astronomowie odłożyli koniec świata jeszcze na miesiąc, ażeby wszyscy grzesznicy mogli się wyspowiadać spokojnie,“ gdy wreszcie bez katastrofy przeminął fatalny dzień 12 maja, umysły wróciły do równowagi.

A teraz — czy takie spotkanie grozi ziemi jakimkolwiek kataklizmem? Czy grozi jej chociażby taką katastrofą, jak... spotkanie dwu naszych zwykłych ziemskich pociągów? Aby na to pytanie odpowiedzieć, musimy znać naturę, budowę fizyczną komet. Otóż obecnie jest niemal dowiedzionem, że ogon komety, z którym spotkanie ziemi najprędzej i najłatwiej nastąpić może i w rzeczywistości następuje, składa się z materyi tak subtelnej, że nietylko w żaden sposób obecność jej w atmosferze ziemskiej odkryć się nie daje, lecz że nawet nie zdoła ona w żaden, przez najsubtelniejsze przyrządy nasze wyczuwalny sposób osłabić blasku najmniej świetnych gwiazd. Pozostaje więc niewykluczoną możliwość uderzenia ziemi o głowę lub też samo jądro komety, złożone, według poglądów spółczesnych, z grup oddzielnych brył. Czem nam ono grozi? Lecz przedewszystkiem, jak powiada Newcomb, „prędzej ślepy, strzelając w jakiejkolwiek chwili na chybił trafił, ugodzi kulą przelatującą dziką kaczkę,“ niż nastąpi podobne uderzenie, a gdyby nawet było nam danem doczekać się go, to też nic pewnego o skutkach powiedzieć nie umiemy, nie znamy bowiem ani rozmiarów tych brył, ani nie wiemy dokładnie, jakie je oddzielają odległości. Wreszcie może być jeszcze jeden przypadek. Komety z biegiem czasu ulegają rozkładowi; tracą ogon, a wreszcie rozpadają się na niezliczone mnóstwo brył. Gdy ziemia znajdzie się na drodze takiej rozłożonej komety (a zdarza się to stosunkowo często), wówczas obserwujemy nader obfity deszcz t. zw. gwiazd spadających. Takie właśnie zjawisko „grozi“ nam w roku przyszłym, na który domorośli astronomowie przepowiedzieli koniec świata, wywołany spotkaniem ziemi z kometą.

Lecz opuśćmy rozprawkę p. Ernsta, napisaną bardzo barwnie i bardzo zajmująco, i spytajmy siebie, czy nauka nie przepowiada tego przerażającego, „końca“ na zasadzie jakichkolwiek innych dociekań. Owszem, przepowiada prawdopodobną zagładę *ziemi* nie *świata*, lecz w przyszłości bardzo jeszcze od nas dalekiej. Grozi nam nią powolne oziębianie się słońca. Wedle teoryi wprowadzonej do nauki przez W. Thomsona (Lorda Kelwina), za *pierwotne* źródło powstania ciepła słonecznego należy uważać „potoki meteorów,“ spadających wzajemnie na siebie z ogromną szybkością pod wpływem siły ciążenia. Ciepło, powstające przy podobnem uderzeniu musiało być tak olbrzymie, że doprowadziło całą masę meteorów do zlania się w jedno ciało (nasze słońce), będące w stanie t. zw. „białego żarzenia się.“ Thomson stara się nawet wyliczyć szybkość, z jaką powinien był zachodzić ten spadek meteorow, aby wywiązane przez uderzenie ciepło mogło starczyć na dziesiątki i setki milionów lat. Rezultaty rachunku bynajmniej nie przeczą rzeczywistości i nie zawierają w sobie nic fantastycznego. Wiek obecny słońca zamyka ten uczony w granicach od 100 do 500 milionow lat. Jak widzimy, są one dość szerokie, podobnemi są i te, w których mieści się [illegible] wszłe życie słońca, a więc i ziemi „O[illegible]wczy przyszłości, to z tem samem m[illegible]cej prawdopodobieństwem możem[illegible] wiedzieć, że mieszkańcy ziemi nie będą w stanie jeszcze wiele milionów lat rozkoszować się swiatłem i ciepłem, tak niezbędnem do życia, o ile tylko w wielkich śpichlerzach wszechświata niema żadnych po za tem źródeł tych dwu czynników.“ Czy więc mamy jakikolwiek powód do patrzenia ze strachem w przyszłość ziemi naszej? Żadnego. Popierwsze bowiem, znów idąc za Thomsonem, „nie mamy prawa twierdzić, jakoby jakikolwiek wniosek mechaniki, tyczący się przyszłego stanu ziemi, mógł upoważniać do przygnębiającego poglądu na losy tej rasy istot rozumnych, która ją obecnie zamieszkuje“; powtóre zaś — nawet hypoteza wygasania słońca odkłada nam katastrofę na długie miliony lat. Czyż więc nie jest racyonalniejszem przypuścić, że ród ludzki końca swej planety nigdy nie doczeka; że wprzódy jeszcze życie zakończy z wycieńczenia i starości, podobnie jak kona powoli kaganek, gdy knot wysysa z niego ostatnią kroplę oliwy?..

Michał Mutermilch.

*) *O końcu świata i kometach.* Lwów 1899.

ODCZYTY.

J. Wł. Dawid: *Współczesne teorye o stosunku duszy i ciała.*

Załatwiwszy się w kilku słowach z poglądem materyalistycznym na stosunek duszy i ciała, prelegent zatrzymał się dłużej nieco nad różnemi formami paralelizmu, czyli teoryi równoległości i niezależności wzajemnej zjawisk duchowych i fizycznych, przeczącej, według niego, ogólnym naszym pojęciom i doświadczeniom, dotyczącym porządku rzeczy w świecie, gdzie wszystko pozostaje ze sobą w związku, gdzie jedno wypływa z drugiego i pociąga za sobą pewne skutki.

Przyjąwszy teoryę równoległości zjawisk fizycznych i duchowych, musielibyśmy przedstawić sobie cały proces rozwoju i dokonywania się, jako zachodzący dwukrotnie a identycznie, co przeczy prawu natury, według którego usiłuje ona osiągnąć wszelkie rezultaty z możliwie najmniejszym wysiłkiem.

Świadomość, pojawiająca się w pewnym momencie rozwoju świata i odgrywająca przy pewnym stopniu doskonałości układów materyalnych coraz wybitniejszą rolę, objawiać się musi w roli czynnej, kierowniczej, regulującej. Dla spełnienia swej funkcyi musi ona podlegać działaniu czynników materyalnych i ze swej strony na te czynniki wpływ swój wywierać. Jest ona ogniwem w powszechnym łańcuchu zjawisk, tworzących życie na ziemi.

Oto, jak się zdaje, w wyrazach najogólniejszych pogląd p. Wł. J. Dawida na wzajemny stosunek duszy i ciała. Argumentów prelegenta, wymierzonych przeciwko teoryi równoległości zjawisk duchowych i fizycznych i wypływającej z niej teoryi monizmu w jej różnych formach, powtarzać tu nie będziemy; nie możemy również przytaczać długiego rozumowania, mającego poprzeć i rozwinąć teoryę wzajemnego oddziaływania duszy i ciała. Pozwolimy sobie natomiast przy sposobności na jedną uwagę ogólniejszej natury.

Odczyty publiczne u nas powinny mieć przedewszystkiem na względzie szerokie warstwy społeczeństwa, garnące się do wiedzy, a mające wstęp do jej świątyń zamknięty lub utrudniony. Dlatego, jeżeli chodzi o istotną korzyść zwykłych słuchaczów odczytowych, wśród których przeważają ludzie o średniem lub mniej, niż średniem, przygotowaniu naukowem, nie dosyć jest wybrać temat zajmujący i rozwinąć go w sposób akademicki, dając dowody bliższego zapoznania się z przedmiotem i umiejętności przemawiania z katedry. Idzie jeszcze o tę trudniejszą niekiedy do zdobycia umiejętność zniżenia się w prelekcyi publicznej do słuchaczów, uprzystępnienia i spopularyzowania przedmiotu wykładu, zajęcia ich naprawdę jego treścią i rozszerzenia zakresu ich pojęć pewną ilością nowych zdobyczy, nie zaś jedynie obciążenia pamięci balastem mało zrozumiałych dla większości terminów i formuł, z których część znaczna ulatnia się zresztą niepostrzeżenie przy pierwszem zetknięciu ze świeżem powietrzem ulicy.

Jeżeli przystępność i popularność jest ważnym warunkiem wykładów publicznych wogóle, to cech tych musimy w większym jeszcze stopniu wymagać od odczytu, którego treści dostarcza prelegentowi tak obca dziś jeszcze dla ogółu naszego sfera zagadnień z dziedziny psychologii lub psycho-fizyologii. Nieumiejętność dostosowania się w wykładzie do poziomu umysłowego słuchaczów może w tym razie doprowadzić do niepożądanego zgoła rezultatu: zamiast wyjaśnić daną kwestyę, zaciemnia ją raczej dla wielu, wytwarzając w nieprzygotowanych umysłach pewien chaos i zniechęcając zarówno do studyów samodzielnych w danej dziedzinie, jak i do odczytów publicznych wogóle.

Pan J. Wł. Dawid jest niewątpliwie zdolnym i pracowitym psychologiem. W odczycie, wygłoszonym 8 b. m. w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa, dotknął jednego z tych zagadnień, któremi tajemniczy sfinks dążenia do prawd ukrytych dręczy od wieków myśl ludzką, nie znajdując dotąd swego Edypa. Praca jednak, która zapoznać miała licznie zgromadzonych słuchaczów ze współczesnemi teoryami o stosunku duszy i ciała, chociaż wartościowa i nadająca się może do jakiegoś pisma specyalnego lub zbioru rozpraw naukowych, zamało uwzględniła, niestety, ów poziom umysłowy słuchaczów i przez to w części tylko osiągnąć mogła cel zamierzony.

Wł. B

LITERATURA I SZTUKA.

NOWE POWIEŚCI GRUSZECKIEGO.

Artur Gruszecki: *Krety*, powieść współczesna, 420 str. *Hutnik*, powieść współczesna, 176 str. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1898. — *W starym dworze*, powieść, 166 s. Petersburg. K. Grendyszyński. 1899.

I.

W znacznej części słusznie narzekania na smutny stan powieściopisarstwa naszego w obecnej dobie są wynikiem nie braku dobrych lub nawet bardzo dobrych utworów beletrystycznych, lecz raczej obfitości miernot, pozbawionych śladu talentu, pisanych z dnia na dzień dla zarobku, zapełniających szpalty codziennych i niecodziennych czasopism, półki i wystawy księgarskie, wciskających się różnemi drogami do naszych domów, reklamowanych w ogłoszeniach płatnych lub nawet w „bezstronnych“ krytykach, zmuszających wprost ogół do zajmowania się niemi.

W powodzi banalności i szablonu toną dzieła istotnej wartości literackiej i społecznej — i oto mamy dziś do czynienia z objawem dziwnym: mimo, że beletrystyka nasza poszczycić się może obecnie, zarówno wśród starszych, jak i wśród młodszych pisarzy, większą, niż kiedykolwiek, liczbą talentów niewątpliwych, oryginalnych, niekiedy nawet świetnych — wywiera ona wogóle wrażenie przygnębiającej szarości i płytkości, co tłomaczyć można jedynie nadmiarem przytłaczającego ją balastu wyrobów rzemieślniczych, w dziesiątym stopniu nawet nie spokrewnionych z literaturą prawdziwą.

Dobroczyńcą piśmiennictwa byłby zaiste krytyk, któryby wziął na swe barki i wykonał z powodzeniem olbrzymie dzieło oczyszczenia tej stajni Augiaszowej, w którą zamieniła się od pewnego czasu świątynia literatury naszej. Dobroczyńcą byłby każdy, ktoby namówić zdołał trzy czwarte przynajmniej panów i pań, wyrabiających dzisiaj na łokcie nowele, powieści i romanse, prześcigające się w bezmyślności i niechlujstwie językowem, do zwrócenia w jakimkolwiek innym kierunku swych sił i zdolności. Zyskałby na tem zapewne przemysł i handel krajowy, w którym po dawnemu panoszą się cudzoziemcy, dla literatury zaś byłyby to bez przesady prawdziwie uroczyste święto, któreby upamiętnić należało corocznym obchodem solennym.

Nie łudźmy się jednak. Są to wszystko, niestety, piękne marzenia jedynie. Dopóki pisanie najmarniejszych powieścideł będzie u nas niezłym interesem, podtrzymywanym przez dziesiątki redakcyj, poszukujących do swych odcinków utworów beletrystycznych o treści „sensacyjnej“ i „umoralniającej“ (rzecz dziwna: o te dwie *zalety* chodzi im zwykle przedewszystkiem) — zastępy autorów, o jakich mowa, na kamieniach rodzić się będą, aby w dalszym ciągu z równem powodzeniem zachwaszczać niwę piśmienniczą. Laury Miltyadesa nie pozwalały zasnąć Temistoklesowi, lecz naszym Temistoklesikom literackim nie chodzi bynajmniej o wawrzyny Sienkiewiczów, Prusów, Żeromskich lub Sieroszewskich. Wystarcza im w zupełności pewna ilość kopiejek od wiersza, a tę zapewnioną dziś mają, chociażby dalej jeszcze posunąć się zdołali w swych utworach za Herkulesowe słupy bezmyślności. Znajdą oni przytem w dodatku i wśród tak zwanych krytyków paru przynajmniej przyjaciół, gotowych okadzać ich ramoty dymem kłamanych pochwał, i po pewnym czasie powiększą niewątpliwie pokaźny już dzisiaj zastęp naszych sław domorosłych, „naszych znanych i sympatycznych...“

W takich warunkach krytyka prawdziwa staje się niemal bezsilną. Rola jej sprowadzać się musi do wydobywania z piasku banalności, lichoty i nędzy — grudek istotnego talentu, do zwracania uwagi czytelników na dzieła, którym przy narodzeniu świeciła gwiazda jakiejś podnioślejszej idei, nie zaś wyłącznie ponętny blask rubla srebrnego, na utwory sztuki, jednem słowem, a nie spekulacyi poziomej.

W szeregu młodszych autorów, pracujących z pożytkiem na niwie piśmienniczej, kroczących drogą samodzielną, bez odgłosu fanfar przyjacielskiej reklamy, i odsłaniających przed powieścią naszą widnokręgi nowe, jedno z miejsc zaszczytniejszych zajął w ostatnich czasach p. Artur Gruszecki. Powściągliwy zazwyczaj w oddawaniu pochwał Piotr Chmielowski nie zawahał się nazwać przedostatniej powieści jego „czynem społecznym,“ a miano to przysługuje, według nas, zarówno niedawno wydanemu „Hutnikowi,“ jak i wcześniejszym nieco, a bardziej jeszcze na uwagę zasługującym „Kretom.“ W obu utworach składa autor dowody poważnej obserwacyi nieznanych ogółowi stron życia bohaterów współczesnych, tych drobnych atomów-ludzi, których niezmordowanej pracy, narażającej co krok na kalectwo, śmierć lub nieuniknione zatrucie organizmu wyziewami groźnymi, przemysł górniczy i hutniczy zawdzięczają swój rozkwit dzisiejszy.

Pan Gruszecki nie jest zimnym badaczem, ogłaszającym ze spokojem naturalisty wyniki swych obserwacyj nad objawami życia. Jest to pisarz o gorącem sercu, którego żywsze uderzenia udzielają się wszystkim, znającym jego najnowsze utwory. A niezależnie od tego umie on czasem wznieść się na wyżyny artyzmu, dostępne tylko talentom prawdziwym, umie tchnąć takie życie w czarne czeluście kopalni węgla lub w ognistą paszczę huty cynkowej, że czytelnikowi wydają się one naprawdę jakimiś potworami olbrzymimi, karmiącymi się zdrowiem, potem i krwią ludzką, wchłaniającymi w swe nienasycone gardziele dziesiątki i setki istnień, składanych corocznie w ofierze wiecznie głodnemu Molochowi przemysłu wielkiego.

Na dowód tego dosyć przypomnieć ów ustęp z „Kretów,“ w którym całość kopalni węgla robi na autorze wrażenie jakiegoś apokaliptycznego, przerażającego zwierzęcia, „które leży groźne, leniwe, nasycone, warcząc niekiedy do podobnego sobie nieprzyjaciela — do huty cynkowej,

ziejącej ogniem i zatrutym oddechem“ — lub przytoczyć krótki urywek z opisu walki człowieka z naturą „w czarnej krainie węgla, pośród maszyn zgrzytu.“

„Czterdzieści lampek górniczych rozświetlało odwieczne ciemnice, w których pracował człowiek. Każda piędź tej ziemi, każdy załom, wklęśnięcie, każda szczerba, to ślad pracy zawziętej, usilnej, nieustającej. Ani twardy granit, oporny piaskowiec, zdradliwy łupek, uparta glina, podstępny piasek, zawzięta woda, nie wstrzymały postępu pracy ludzkiej. Małe karły, uzbrojone tak pierwotnemi narzędziami, jak oskard - młot i świder dłuto, pruły wnętrzności olbrzyma-ziemi, bez przerwy, bez wytchnienia, bez znużenia z przyświecającą, jak lampka górnicza, nadzieją, że z przepaści wyjdą zwycięzcami. Od czasu do czasu zniecierpliwiony olbrzym otrząsnął się z niemiłych karłów, zgruchotał ich kości, odświeżył się ciepłą krwią, odetchnął jękiem i zamarzył o przedwiecznym spoczynku nicości. Ale wnet zbudziły go uderzenia oskardów. zgrzyty świdrów, gwizd maszyn, blade światełka lampek i dalej wrzała walka nieustająca, nieubłagana, zawzięta, nieprzejednana.“

Pojedyncze epizody tej walki stanowią właściwą treść „Kretów,“ obfitujących w szczegóły nieznane, ciekawe, wstrząsające. Dzieje gromady ludzkiej, wprzęgniętej do taczek wielkiego przemysłu, narażającej zdrowie i życie, aby w czarnych podziemiach kopalni wydzierać ziemi jej skarby zaklęte i karmić się ich okruchami, odmalowane tu zostało drobiazgowo i wszechstronnie.

Przebiegamy oczyma karty książki, czytamy opisy wysiłków i odwagi górników, ich wyzysku przez chciwych sztygarów; oburzamy się na obojętność zarządu, dbającego jedynie o zysk i zadowolenie akcyonaryuszów; patrzymy na zwykłe wypadki, za drobnostki uważane przez oswojony z nimi ogół, chociaż tu idzie o życie pojedynczych pracowników, miażdżonych codziennie przez obrywające się skały lub ginących pod kołami ciężko naładowanych wózków; zgrozą przejmują nas opisy żywiołowych klęsk i katastrof, pochłaniających odrazu dziesiątki i setki istnień ludzkich, pozbawiających opieki gromady kobiet i dzieci; przypatrujemy się wreszcie zabawom i rozrywkom tych ludzi, pełnych jakiegoś ślepego determinizmu, używających dziś życia w szalonym zapale, a jutro gotowych narazić je, przy „rabunku“ lub walce z pożarem w kopalni, na niechybną śmierć dla zarobienia kilkudziesięciu kopiejek lub wprost dla poigrania z niebezpieczeństwem.

Jak w kalejdoskopie, przesuwają się przed nami coraz to inne, coraz niezwyklejsze obrazy. Ciemne sylwetki górników błądzą wśród czeluści bezdennych; w ciszy rozlega się ponuro ostrzegawcze pukanie „skarbnika“, i zdaje nam się chwilami, że stoimy wobec jakiejś bajki czarodziejskiej z tysiąca i jednej nocy, opowiadanej przy huku maszyn i łoskocie załamujących się podziemi przez nieznaną, tajemniczą wróżkę teraźniejszości.

Mniejsza o to, że w odtwarzanem przez powieściopisarza mrowisku ludzkiem zacierają się kontury wielu pojedynczych sylwetek, że tu i owdzie otrzyma czytelnik wrażenie pewnej chaotyczności, że niedosyć umotywowanym wyda mu się jakiś przełom w duszy tej lub owej jednostki, niezupełnie zrozumiałym rozwój lub kierunek uczucia. Jednostkę pochłania tu wogóle całość, gromada, tłum. Psychologia człowieka zbiorowego występuje na plan pierwszy, zajmując głównie uwagę, przez co taki np. romans Paulisi z Pakoszem, rywalizacya z tym ostatnim Franciszka i inne, ciekawe niewątpliwie i skreślone żywo, epizody odgrywają w powieści rolę drugorzędną.

Głównym bohaterem utworu jest z jednej strony kopalnia, a z drugiej tłum robotników; główną treścią — śmiertelna walka między temi dwiema potęgami. Psychologia tych bohaterów jest przeprowadzona dobrze, treść wydaje się zajmującą i nową, i dlatego wybaczyć autorowi możemy drobne usterki, do których zaliczyć należy i pewne odstępstwo od zasady przedmiotowości przy malowaniu zwierzchności kopalni, dające się uczuć zwłaszcza w niektórych scenach z dyrektorem, jak w tej np., gdzie autor przeciwstawia tendencyjnie obojętność naczelnika kopalni na śmierć kilkunastu, może nawet kilkudziesięciu ludzi, przerażeniu na wiadomość o stracie trzydziestu koni.

Do lepszych ustępów powieści zaliczamy sceny zbiorowe życia górniczego, jak opis odbierania zapłaty i związanej z tym faktem pohulanki, barwny obraz wyborów na deputata od górników do „kasy bratniej,“ a zwłaszcza przejmujące sceny popłochu w kopalni pod grozą uduszenia się w zgniłych wyziewach, wywierające rzeczywiście wrażenie duże.

Władysław Bukowiński.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYA. „Historya Polski,“ tom II, dodatek do *Wieku*.

POWIEŚCI. M. Rodziewiczówna: „Straszny dziadunio,“ przedruk. „Biblioteka dz. wybor.“

— A. Gruszecki: „W starym dworze“ (166 str.). Petersburg, Grendyszyński.

ŻYCIORYSY. S. Zdziarski: „M. Gosławski,“ zarys biograficzno literacki (92 str.). Petersburg. Grendyszyński.

— P. Chmielowski: „Klementyna z Tańskich Hofmanowa“ (118 str.). Petersburg, Grendyszyński.

KOMEDYE. E. Rostand: „Cyrano de Bergerac,“ komedya bohaterska w 5 aktach, tłom. M. Konopnicka i W. Zagórski, 2. t. (158 i 159 str.). Dodatek do *Gazety Polskiej*.

MEDYCYNA. Dr. M. Stefanowska: „Evolution des cellules nerveuses corticales chez la souris après la naissance“ (48 str., z dwiema tablicami). Bruksella.

POLITYKA. M. Orzelskij: „Polskij wopros“ (49 str.). Kijów.

POEZYE

DO NOCY.

Daremnie mrocznych tiulów zwoje,
Upinasz srebrnym sierpem nowiu
I chcesz na sennych ziem wezgłowiu,
Utulić czoło swoje,
O nocy!
I nadaremnie, po rozłące
Z ogniem wieczornych zórz kratern,
Swe piersi, jeszcze nim dyszące,
Pragniesz orzeźwić tchem eteru —
A świat kołysząc pieszczotliwie
Ostatnim skrzydeł swych łoskotem,
Chcesz na jedwabnych mgieł przędziwie,
Rozkoszna, cicha, w marzeń mocy,
Pod szafirowym ledz namiotem,
O nocy!
Nocy ma, zachwytom
Nie ufaj, ni syrenej
Pieśni rusałek — ni rozkwitom
Paproci kwiatu, pośród cieni,
Ani zwodniczych mar opiece
Nie ufaj! Oto
Ja na przekór tobie
Zapalam moją świecę!
I pod twych smętnych rzęs oprawę
Światełko rzucam mętne, rdzawe,
Które się gwiazdą złotą
Nie rozpromieni
Ku twej ozdobie.
A jeśli kędyś w dal połyska,
To jako błędny ognik w mrokach uroczyska
Drżący tęsknotą!
O nocy! słuchaj, pod sklepieniem
Świątyni twojej
Krzyk moich myśli się rozlega —
Tak się rozlega,
Aż pokąd ciszy nie rozstroi
Cierpieniem!
I moja skarga pytająca
Obrazy marzeń swych roztrąca
I nie masz spokoju
Z ziemi do niebios brzega,
O nocy!
Czas już porannym płynąć łzom!
Już w bezsenności mdlejesz znoju.
A ja twych marzeń snucie
Zrywam — i liczę twego bytu
Pulsa, minuta po minucie,
I patrzę, jako szydzić snom
Idzie wybladły promień świtu!

Si-re-do.

SPRAWY EKONOMICZNE

HANDEL WOLNY CZY OCHRONNY?

(Dokończenie).

Niezawodnie w pewnych warunkach wolny handel może stanowić element postępowy, przyspieszający rozwój techniki przemysłowej i środków produkcyjnych, ale może nim też być w innych warunkach i system ceł ochronnych. Tem się też objaśnia, że politycy, zajmujący najbardziej wysunięte na lewo skrzydło demokracyi, nieraz oświadczają się za ochroną celną dla tych gałęzi produkcyi, które nie mogłyby się rozwinąć przy systemie wolnego handlu, a które w danym kraju mają przyszłość przed sobą. Przykłady takie widzieliśmy w parlamencie niemieckim, nawet w stanach australskich, które pod względem kultury społecznej i ochrony pracy stoją na najwyższym dziś stopniu rozwoju cywilizacyjnego. Ale po co tak daleko sięgać? Dość spojrzeć na Cesarstwo Rosyjskie i Królestwo Polskie, aby się przekonać, jak wielkie elementy postępowo stworzyła państwowa polityka ceł ochronnych, bez których mielibyśmy nietylko nędzę galicyjską, ale i jej materyalne warunki reakcyjne.

Lecz gdy w Rosyi i niektórych innych krajach system celny dziś jeszcze nie przestał być czynnikiem rozwojowym, charakter też jego zmienił się w Niemczech zupełnie od czasu, gdy wolno-handlowi przedtem junkrzy, wskutek obniżki cen zboża stali się fanatycznymi bojownikami systemu celnego i pod jego znakiem zawarli sojusz (kartel parlamentarny przed upadkiem Bismarka) z pseudo-liberalną, reakcyjną częścią mieszczaństwa. Cła podnoszą sztucznie cenę towarów, prócz tego w pewnych warunkach sprzyjają powstawaniu wielkich zmów i syndykatów przemysłowych —z tych względów mają ciemną stronę swego medalu i mogą usunąć lub zmniejszyć popęd do rozwoju techniki i produkcyi. Jedynym tedy, dobrze pojętym celem systemu celnego musi być tylko ten, który dąży do uczynienia produkcyi krajowej zdolną do współzawodniczenia na rynku wszechświatowym. Z chwilą, gdy cel ten został osiągnięty, ochrona traci swą racyę bytu, jako czynnik postępowy i służy już wyłącznie celom fiskalnym, rozwojowi militaryzmu i reakcyi, oddając przytem kieszenie spożywców i pracowników na łup nielicznej stosunkowo garstki monopolistów.

Od czego zależy współzawodnictwo przemysłu na rynku międzynarodowym? Od jakości i ilości pracy, maszyn, kapitału i

materyałów surowych. Otóż pod wszystkimi tymi względami przemysł niemiecki stanął już na wysokości, z której zdolny jest podjąć walkę konkurencyjną i podjął ją z zagranicą. Już dziś jest mu za ciasno w szrankach ojczystych i szuka sobie ujścia po za granicami; stąd płynie zapał patryotyczny Niemców do polityki kolonjalnej i awantur zamorskich. Co się zaś tyczy jego zdolności konkurencyjnej, najcharakterystyczniejszym pod tym względem objawem są coraz częstsze utyskiwania i skargi przemysłowców angielskich wobec obiegających w Anglii wyrobów z napisem: *made in Germany*. Ochrona tedy dla rozwoju przemysłu niemieckiego stała się niepotrzebna. I tu dopiero zaczyna się największa trudność—trudność porzucenia systemu celnego i powrotu do wolnego handlu. Skąd to pochodzi?

Należy odróżnić system celny pierwotny od nowożytnego, wielko-przemysłowego. Dawniej ruch na rzecz ochrony szedł z przemysłu. Dziś płynie on z rolnictwa niemieckiego. Dawniej jedna partya była za wolnym handlem, druga za cłami. Dziś natomiast widzimy, że rolnictwo i przemysł jednakowo wrogo zachowują się wobec wolnego handlu i pragną utrzymania systemu celnego. Lecz ochrona celna w rolnictwie szkodliwie oddziaływa na przemysł, a ochrona celna przemysłu również szkodliwie działa na rolnictwo. Połączenie się więc przemysłu i rolnictwa pod znakiem celnym jest na pozór niedorzecznością: ani pierwszy, ani drugie nic tu napozór nie wygrywa—przeciwnie, obie strony tracą. Ale w tej niedorzeczności tkwi metoda, która powstanie swe zawdzięcza historycznym i społecznym warunkom Niemiec. Gdy rolnictwo niemieckie zaczęło usilnie i hałaśliwie domagać się ceł ochronnych, przemysł, który mógł się już obejść bez opieki, miał dwie drogi przed sobą: albo podjąć energiczną walkę przeciw rolnictwu, reprezentowanemu przez reakcyjnych junkrów pruskich, albo ustąpić z pewną korzyścią dla siebie. Mieszczaństwo niemieckie, którego liberalizm nigdy zbyt nie ogrzewał, ani zapalał, tem mniej czuło teraz ochoty do walki z reakcyą, gdy ma za plecami stało lewe skrzydło demokracyi, gotowe zresztą energicznie wystąpić przeciw państwu junkrów na dane hasło. Ale przemysł, wielki przemysł wolał ustąpić, niżeli zwyciężyć przy pomocy tego Acherontu. Przyczem skłoniły go do tego głównie dwie okoliczności. Naprzód, przy sojuszu z ziemianami łatwiej było opętać groźne żywioły—i rzeczywiście, jednocześnie z epoką wysokich ceł zaczęła się epoka praw wyjątkowych w Niemczech; powtóre—i to zapewne odegrało rolę najważniejszą — przełom z 1873 roku był w oczach burżuazyi wyrokiem śmierci dla systemu wolnego współzawodnictwa. Staje się ono coraz nieznośniejszem dla przemysłu, który dąży do monopolu w formie *syndykatów*, *trustów* i *ringów*, a te ostatnie najłatwiej powstają w państwach, opasanych murem ceł wchodowych. Najbardziej uwidocznia się to na Ameryce, podczas gdy w wolnohandlowej Anglii najtrudniej jest powstawać syndykatom przemysłowym. Z tego powodu nawet w Anglii przemysłowcy przestali być zwolennikami wolnego handlu; i oni zaczynają się coraz częściej domagać systemu ceł ochronnych. Słowem, z wolnohandlową burżuazyą rzecz się ma tak samo, jak z mieszczańską demokracyą: obie jednakowo opuściły sztandar liberalizmu i wyrzekają się dawnych ideałów.

Stąd pochodzi owa trudność zupełnego zniesienia ceł, o której wyżej napomknęliśmy. Oczywiście, nie mamy tu na myśli natychmiastowego i nagłego usunięcia ich w danem państwie. Ale nawet powolne przechodzenie do wolnego handlu nie ma przed sobą widoków, w niedalekiej przynajmniej przyszłości. Jak to kiedyś słusznie zauważył Engels, łatwo jest zaprowadzić system celny, ale bardzo trudno znieść. Stwarza on masę interesów, które nie pozwalają usunąć go odrazu. Daje on wreszcie państwu jedno z największych źródeł dochodu, którego się ono pozbyć nie chce i nie może. W ten sposób w państwach o wysoko rozwiniętym przemyśle, system celny nietylko przestał być czynnikiem rozwojowym, ale stał się ciężką zmorą reakcyjną, przeciw której walka niebędzie łatwą.

W. A.

W DALI.

Płock. W okolicy Płocka lud wiejski porzucił wódkę, ale za to zaczął pić namiętnie anodynę, do czego zły przykład dali mu Niemcy. Butelkę anodyny kupują w Płocku albo w Wyszogrodzie po 35 kop. Do $^1/_4$ części płynu dodają $^3/_4$ wody i upijają się taką mieszaniną. *Echa płockie i łomż.* piszą, iż wśród ludności uboższej anodyna stopniowo zastępuje miejsce wódki na chrzcinach, weselach itd. Są ludzie, którzy ją piją nie kieliszkami, ale poprostu szklankami. Są tacy, którzy dolewają tę truciznę do herbaty. Anodyna rozpowszechnia się, ale były już wypadki choroby po jej wypiciu.

Ryga: *Nowoje Wr.* zamieściło korespondencyę, w której na uwagę zasługuje następująca notatka: Wiele wrzawy wywołała tu sprawa ujawnienia szkół potajemnych, urządzanych dla nauki dziatwy języka niemieckiego. Ponieważ we wszystkich urzędownie istniejących zakładach naukowych, zarówno rządowych, jak prywatnych, wykłady powinny się odbywać według prawa w języku rosyjskim, a więc gwoli obejściu tego prawa, urządzane bywają szkółki nieurzędowe, bez pozwolenia władzy. Świeżo ujawnione dwie takie szkoły w Rydze: jedna mieściła się w domu szlachty liwońskiej, w mieszkaniu jednego z oficyalistów, druga — w domu banku szlacheckiego ziemskiego, w mieszkaniu dyrektora, zarazem prezesa konsystorza ewangelickiego. Szkoły urządzane są pod pozorem nauki domowej, jakkolwiek nauczanie takie jest wzbronione z mocy rozporządzenia ministeryum oświaty, swojego czasu podanego do wiadomości powszechnej. Obecnie, jak głoszą, władze miejscowe projektują pociąganie do grzywien za utrzymywanie szkół zakazanych, jak to się dzieje w kraju północno-zachodnim. Środek taki jest konieczny z tego względu, że potajemna nauka w języku niemieckim praktykuje się w tej formie powszechnie we wszystkich miastach kraju Nadbałtyckiego. Z drugiej strony, tutejsze koła niemieckie prowadzą agitacyę w obronie szkółek, a prasa niemiecka wystąpiła nawet z twierdzeniem, jakoby nauczanie takie nie mogło być poczytywane za wzbronione, oświadczając, że niby władza miejscowa nie wchodzi w tę sprawę, gdy tymczasem, jak wspomnieliśmy, wyjaśnienie, zabraniające utrzymywania takich szkół, było podane do wiadomości powszechnej. Wywody kłamliwe wprowadzają w błąd publiczność i podkopują powagę prawa obowiązującego."

KRONIKA.

Pomnik Mickiewicza. Ogłoszono odezwę następującą: „Komitet budowy pomnika Mickiewicza w Warszawie podaje do wiadomości publicznej, że obchód odsłonięcia pomnika odbędzie się w d. 24 grudnia r. b., o godz. 10 z rana, stosownie do otrzymanego urzędowego pozwolenia i programu. Rozdawanie biletów wstępu na plac podczas uroczystości nastąpi po d. 18 grudnia. Szczegółowy program obchodu będzie wkrótce ogłoszony."

Wiadomości społeczne. Zatwierdzono ustawę przytułku dla dziatwy wyznania katolickiego w Petersburgu.

— Za przykładem kolei skarbowych i prywatnych w Cesarstwie, zarząd Nadwiślańskich przy tworzeniu zreformowanego personelu urzędniczego przyjął w charakterze kancelistek 74 kobiety. W wydziale handlowym pracuje obecnie 34, w kancelaryi zarządu 2, w wydziale służby ruchu 19, w wydziale buchhalteryi 14 i w wydziale prawnym 5. Otrzymują one pensye w wysokości od 30 do 50 rb. miesięcznie, stosownie do uzdolnienia i biegłości w pracy; prawie wszystkie posiadają patenty z ukończonych zakładów naukowych rządowych lub prywatnych; stosunek zaś ilościowy pod względem narodowości wyraża się cyfrą $^3/_4$ Rosyanek. Pomimo że według ustawy kolei skarbowych — pisze *Kuryer Warsz.*— wolno powierzać kobietom tylko 20% posad biurowych – a na Nadwiślańskich cyfra 74 pracujących kobiet kancelistek przewyższa znacznie pomieniony procent, zarówno zarząd tych kolei, jak i naczelnicy wydziałów zarzuceni są podaniami i prośbami o miejsca i wakanse, których w żaden sposób dostarczyć im nie mogą, ponieważ miejsca te zajęte są nawet po nad komplet etatowy.

— Według planu nowej ustawy, dotyczącej służby cywilnej, urzędnicy z wykształceniem wyższem mają prawo awansować dwa razy szybciej, niż ze średniem. (*Birż. Wied.*).

Zapis. Zmarły niedawno w Warszawie kupiec Henryk Meyer, zapisał 18,000 rb. na cele dobroczynne. Mianowicie: 2,000 do rozporządzenia Kasy im. Mianowskiego na stypendya dla studentów uniwersytetu, 5,500 na szpital żydowski, 3,500 na potrzeby gminy starozakonnych, 2,000 na Dom schronienia starców wyznania mojżeszowego, 2,000 na pożyczki bezprocentowe dla Żydów niezamożnych, 1,000 dla katolickiego Tow. dobroczynności w Warszawie, 1,000 na przytułek dla rekonwalescentów i 1,000 na synagogę.

Sądy. Pociągnięto do odpowiedzialności właściciela domu nr 12 przy ul. Topiel za to, że wbrew przepisom sanitarnym wynajął kilkudziesięciu robotnikom mieszkanie ciasne. Jeden pokój w którym może się mieścić sześć osób, wynajął *dwudziestu czterem*; drugi pokój, w którym może się zmieścić cztery osoby, ulokował *osiemnaście*. Sprawiedliwości i hygienie stało się zadość; właściciela skazano na 50 rb. grzywien, a ludzie, przepełniający jego ciasne izby, będą usunięci. Nie usunięto jednak tym sposobem samego zjawiska — nędzy, która opanowawszy ludzi, gdzieś się musi podziać z nimi, tj. wynaleźć pokryjomu inny taki lokal, w którym za kilkadziesiąt kopiejek w brudzie, niechlujstwie, zaduchu i tłoku można przepędzić miesiące zimowe.

— Sprawę ks. Bilakiewicza na mocy rozporządzenia ministra sprawiedliwości rozstrzygnie w styczniu sąd okręgowy petersburski na kadencyi w Jamburgu (gub Petersburska) z udziałem przysięgłych. Ks. Bilakiewicz oskarżony jest o przeciwne prawu pozbawianie swobody, oraz o torturowanie, którego dopuszczał się w charakterze służbowym. Przewodniczyć będzie prezes sądu Bobryszczew-Puszkin; oskarżonego bronić mają Spasowicz i Andrejewskij.

Konkurs. *Gazeta Rolnicza* ogłosiła drugi konkurs na temat: „Uprawa mechaniczna roli odpowiednio do gatunków gleby. Najwłaściwsze narzędzia do uprawy roli."

Katastrofa. W porcie hiszpańskim, Ferolu, wyleciał w powietrze arsenał marynarki. Szkody wynoszą sześć milionów franków.

Zmarli. Tekla z Parczewskich Zmorska, w Warszawie (wdowa po Romanie Zmorskim, poecie), lite-

Odpowiedzi Redakcyi.

A. W. w Z. Oparcia dla dobrej wróżby w wierszach Pańskich nie znaleźliśmy. Są to bowiem znane i zużyte ogólniki.

Panu A. Kr. w Sm. Tom czwarty „Pism" Świętochowskiego już wyszedł z druku i wkrótce puszczony będzie w obieg. Zawiera: „Piękną" i „Aspazyę." Cena 1 rb. 50 kop. bez przesyłki.

Panu Tomaszowi M. Może wywód Pański jest słusznym, ale nie jest należycie uzasadnionym. Przecenia on siłę rozstrzygającą pewnych twierdzeń i prawd naukowych, które rzucają światło — że tak powiemy — na powierzchnię zagadek, ale nie przenikają do ich wnętrza. Teza Pańska wymagałaby daleko szczegółowszego udowodnienia, niż przeprowadzone w pobieżnym artykule. Wiersze zamieścimy.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 4 Декабря 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.